Wł. GUTOWSKI (ON)

SZARZYZNY WILNA

Wilno 1911

3434
21487

SZARZYZNY WILNA.

12—

Ostatnie prace tegoż autora.

Życie to nic (szkice psychologiczne). Wilno. 1909.

Dziejowa spuścizna (powieść z ostatnich zdarzeń) Wilno. 1910.

Na okładce rysunek artysty malarza L. Antokolskiego.

Wł. Gutowski.
|ON|

Szarzyzny Wilna

szkice i nowelle.

WILNO.
Nakładem J. Noworytty i S-ki.
Skład w księgarni Zawadzkiego.
1911.

UNIWERSYTET W BIAŁYMSTOKU
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
289521

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku
FUW0177639

Wilno. Odbito „Związek Drukarzy“ ul. Wileńska, № 25.

D/328/05

Spis rzeczy.

Do czytelnika 7
My . . . . . 9— 17
Pilne sprawy . . . . . 19— 26
Karnawał . . . . . 27— 33
Czaszka . . . . . 35— 45
Smutna prawda . . . . . 47— 51
Pod murem . . . . . 53— 58
Na stanowisku . . . . . 59— 67
Już zima . . . . . 69— 72
Mój przyjaciel . . . . . 73— 79
Śmiercionośne podmuchy . . . . . 81— 85
Choroba Władka . . . . . 87—102
Echa . . . . . 103—113
Latawce . . . . . 115—120
Czy zbroniarz . . . . . 121—130
Złudy . . . . . 131—141
Listy z Mińska . . . . . 143—158
Psie pole . . . . . 159—168

DO CZYTELNIKA.

Ostatnia moja praca, powieść p. t. „Dziejowa spuścizna“ zwaliła na moją głowę gromy i zjednała mi wielu niechętnych. Zarzucono mi „prywatę“ „nieliczenie się ze stosunkami panującymi na Litwie“, a niektórzy bardziej „obrażeni“ krzyczeli: „to paszkwil na Wileńskie kulturalne społeczeństwo“!

Najłagodniej obszedł się szanowny recenzent „Gońca Wileńskiego“ *) pisząc: „bezwzględnie wypowiedziana prawda—prowadzi do paszkwilu“.

Dzięki tej reklamie książka szła i wydawca zacierał ręce.

Co zaś do mnie, autora, napaści podobne zamiast zniechęcić popchnęły jeszcze do dalszej pracy w tym kierunku, bo „gdzie drwa rąbią tam drzazgi lecą“. Snać jest wielu winnych, gdy taki krzyk...

Nadmieniam jednak, że w „Dziejowej spuściznie“, jak i w tej książce prywata jest mi obcą, a paszkwilami się brzydzę...

Autor.

Wilno. Sierpień.

*) Goniec Wileński № 48.

Му.

* My. *

— Dzień dobry, panie Stefanie.

— A, witam pana, szacunek.

— Wpadłem do pana na jedną chwilę, z powodu wyborów do komitetu rodzicielskiego w szkole X. Chodzi oto, abyśmy się porozumieli, naradzili i zgodnie przeprowadzili już wyznaczonych kandydatów. Że nasi przejdą, nie ulega wątpliwości, mamy siłę, gdyż 49% uczniów to polacy.

— A wiesz pan, że to świetna rzecz dać tamtym finfę, mam dużo znajomości, agitować umiem, bo to, widzi pan, człowiek nie z jednego pieca chleb jadł... Żałuję bardzo, że na zebraniu nie byłem, ale widzisz kochany panie, zajęcia, praca społeczna w ostatnich czasach czasu pochłania moc... Proszę bardzo, jak trzeba, zrobię, zrobię, tylko dawaj pan nazwiska kandydatów.

— Takich więcej—rzekł ucieszony delegat ściskając przyjaciela dłoń.

— Tylko bez komplementów... Ja pracę społeczną rozumiem i cenię... Nalało się już nam w uszy, nalało, tyle lat...

Tu westchnął pan Stefan, niebieskiemi oczyma łypnął, prawą nogą złowrogo szurgnął i z głębokiem przekonaniem dorzucił:

— I Koroniarzom pokażemy, co to praca... społeczna... Litwin, to panie pewny człowiek.

Zadowolony wysłaniec komitetowy siada do dorożki i po ulicy Dominikańskiej jedzie dalej.

— Jest w domu pan? pyta służącej.

Po chwili kładzie w uszy pana Kalasantego słowo w słowo to, co p. Stefanowi mówił.

— Bardzo to pięknie, że tak rozumnie i gorąco zajęliście się tą sprawą. Ja, panie, zawsze wszystkim powtarzam, że jedność to grunt, to siła! Ale nie wszyscy na Litwie to rozumieją, bo nasze społeczeństwo to ślimaki, piecuchy!

— Więc pan będzie w niedzielę?

— W niedzielę, poczekaj no dobrodzieju... w niedzielę?

— Tak, w tą niedzielę!

— Ba, w niedzielę, a czyby nie można odłożyć?

— Już postanowione, odłożyć nie można, kilkaset osób już otrzymało zawiadomienie.

— W takim razie ja nie będę.

— ?

— Widzi pan, mojej stryjecznej siostry wypadają imieniny... zaprosili, trzeba tam być!

— Ja sądzę, że sprawa społeczna ważniejsza. Tu idzie o przyszłość naszych dzieci, po-

winniśmy pójść wszyscy, jest to naszym obowiązkiem, bo inaczej nie przeprowadzimy ani jednego z Polaków.

— To bezemnie jednego obyć się nie można?

— Wszak przed chwilą, łaskawy pan bardzo słusznie twierdził, że jedność to siła,—chciał protestować wysłannik.

— Tak to tak, na wiatr słów nie puszczam, ale z babami trudna sprawa...

Po kilku jeszcze wysiłkach w celu przekonania i namówienia, zmęczony wysłannik z bolem serca opuszczał przybytek znakomitego patryoty.

Po dziesięciu minutach znalazł się w mieszkaniu pana Wirmunta znanego stronnika partji ugodowej.

Pan Wirmunt wysłuchał cierpliwie gorącej przemowy, i po pewnej pauzie odrzekł:

— Tere-fere, drogi panie, jest to wszystko bardzo ładne, ale co my na to poradzimy, my do takich rzeczy jeszcze za słabi, oni i tak swego przeprowadzą!

— Broń Boże, Polacy stanowią prawie połowę, jeżeli tylko nie będziemy się rozdzielać, lecz pójdziemy zgodnie, sprawa wygrana!

Pan Wirmunt kiwał głową, lewą ręką gładził klapę surduta, w końcu rzekł:

— Może i wygrana... ale po co mamy im

wchodzić w drogę... właśnie, starajmy się ich łagodzić, pozyskać...

— Blizsza koszula... wtrącił podniecony wysłannik.

— No tak, ale widzisz pan, przyznam się jeszcze panu otwarcie, przyrzekłem dzieciom, że w niedzielę pójdziemy do cyrku.

— Cyrk nie ucieknie,—z nową nadzieją i nieśmiało szepnął wysłanik.

— Właśnie, że ucieknie, bo w poniedziałek wyjeżdża.

— W takim razie, żegnam pana i przepraszam za niepokój.

Pan Kontwił, gorący wyznawca postępowców, znany krzykacz wiecowy, a tajemny czołobita i czciciel możnych, wprost obraził się srodze.

— Dziwi mnie bardzo, że pan przychodzisz i narzucasz, ażebym tam za kogoś, nieznanego mi, głos dawał! To są panie, wybory, wybory wolne, a nie żaden przymus!—prawił podniesionym głosem, chodząc po pokoju.

Wobec takiego argumentu „rozsądnego człowieka“, przeprosił go jak mógł najgrzeczniej i wyniósł się zamykając drzwi szczelnie.

Nie był to jeszcze koniec wrażeń z tej wędrówki cierniowej, świeżo uobywatelnionych a szczęśliwych synów Litwy.

— Głupia sprawa—myślał poczciwy wysłannik, idąc ze spuszczoną głową—jeżeli tak dalej pójdzie, to ładnie będziemy wyglądali!

— Ha, wola Boża! dodał w duchu po chwili—nie pierwszy raz znoszę podobne cięgi.

Pchajmy taczkę dalej, pracować trzeba, a wszak spełniam czyn obywatelski!

Pokrzepiony temi myślami, dzwoni do mieszkania jednego ze znanych działaczy.

W salonie bardzo elegancko umeblowanym wisi na ścianach cały szereg obrazów: Mickiewicz, Kraszewski, Kościuszko, Samo - Sierra, Olszynka... Na stole w bogatych okładkach, „Polska“ Deotymy, „Marja“ Malczewskiego i t. d.

— Czem mogę służyć? krótkie, dyplomatyczne pytanie.

— Jestem, proszę pana, wysłannikiem Rady rodzicielskiej, do której i pan dobrodziej pewnie otrzymał zaproszenie, lecz nie był łaskaw przybyć. Wybrano tymczasowo pięć osób, w liczbie których jest pan. Zebranie urzędowe odbędzie się w niedzielę, prosimy bardzo o łaskawe przybycie, w przeciwnym razie... agitacja ze strony przeciwnej...

— Zaproszenie otrzymałem — cedząc przez zęby, przerwał pan Delenszys.—Nie byłem, bo po cóż ja tam pójdę, wy chcecie mieć samych Polaków!

— Przepraszam, Polacy wystawili kandydatów pięciu, Rosjanie wezmą czterech, Żydzi trzech, nas jest większość i nam się to słusznie należy.

— No tak, ja to dobrze rozumiem, lecz po co my, Litwini, mamy dawać głosy na Polaków?

— Pan daruje, lecz ja się inaczej na tę kwestję zapatruję. Dla mnie Litwin czy Polak, to mój serdeczny brat, jedna krew, jedna dusza, jedna myśl i cel. Krew Jagiellonów i krew Piastów to krew zarówno, nasza.

— Tak to tak, ładnie pan mówisz, ale widzisz pan, ja jestem zajęty pracą, czworo dzieci, jest o czem myśleć, głowa puchnie... A tu jeszcze podnieśli mi podatek z domu o całe sto rubli... Chłopy szelmy w tym głupim czasie wolnościowym (tu się poczciwiec zarumienił) wyrąbali mi w lesie sto dębów, mówię panu, dęby jak złoto! Źle się dzieje, powiadam panu, za grosz niema miłości ani zgody!

I długo rozwodził się szanowny obywatel na ten temat, a biedny wysłannik-męczennik, jak na zarzewiu stojąc, słuchał i słuchał . . . .

. . . . . .

Przyszła niedziela, a z nią i wybory—dla nas opłakane. Panów... *ow* przeszło sześciu, panów *sztejn* czterech, a Polaków dwuch.

Rozżalony i rozgoryczony apostoł Rady rodzicielskiej opuszczał gmach szkolny. W tem uczuł, że ktoś dotknął się jego ręki. Był to jeden jedyny polski na zebraniu rodziców współtowarzysz. Nachmurzył siwe krzaczaste brwi:

— I cóż, przegraliśmy! A nie wierzyłeś pan, gdy mówiłem, że nasza praca społeczna-to próchno! Powinna być nasza większość, a tu nawet pan Stefan nie przyszedł. Od pana Jana dowiedziałem się, że poszedł na czwartego na winta... Ale coś pan bardzo blady.

— Głowa mnie boli... dobranoc...

UNIWERSYTET W BIAŁYMSTOKU BIBLIOTEKA GŁÓWNA

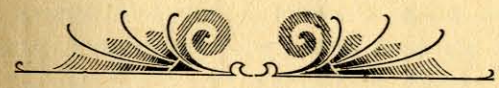

Pilne sprawy.

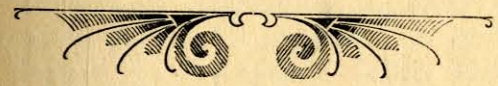

Pilne sprawy.

Państwo Olgierdostwo Derdewicze przyjmują we wtorki. Gospodyni młoda i bardzo sympatyczna, zawsze na progu wita pięknym uśmiechem, «łaskawie przybywających gości». Drzwi otwarte dla każdego, tak „narodowca“ jako i „postępowca“, ba, nawet bywają o płaskich czaszkach zaprzańcy „tutejsi“ a czasami przybywają wiecznie niezadowoleni, nienasyceni, i naprawdę głodni „litwomani“.

Na pierwsze podanie służą papierosy, szachy, warcaby i pogawędka urywana „na głodnego“.

Dopiero po wychyleniu kilku kieliszków wiśniówki (bardzo smacznej), rozmowa przybiera charakter żywy, interesujący.

— To nie prawda, to fałsz wierutny! my stoimy jak jeden mąż,—krzyczy ktoś z boku.

— A ósmy cyrkuł, sześć tysięcy ludzi, to żarty? odezwał się jakiś okropny bas z szarego końca stołu.

— Ale Litwini złączyli się z Żydami, i nie bardzo nam sprzyjają,—zapiszczał cienkim głosem jakiś narodowiec, przy takiej jedności djabli mogą nas wziąć.

— Lepiej z Żydem niż z Polakiem—odciął krzywooki współpracownik „Valtisa".

— Z Rosjanami musimy się złączyć, oni jedni posiadają siłę, a siła to prawo, to główna podstawa porządku logicznego na całym świecie...

Poczciwy członek z obozu „tutejszych" chciał jeszcze coś dołożyć lecz cienki głos narodowca pisnął:

— Puszczyk!

Powietrze zrobiło się parne, czuć było burzę.

— Panowie! o co się spierać, — huknął o zaokrąglonym podbródku p. Wacław Wysławski, pakując do szerokich ust kawał szynki, ja wam zaręczam, że nasz kandydat przejdzie. Co to nasza partja! Wy, panowie, pojęcia nie macie, jak my pracujemy, od rana do nocy; człowiek, proszę panów, zapomiał co to tam, żona, dzieci...

— I Szuman z tancerkami—syknął litwin.

— Ha! ha! ha! huknął bas.

Pan Wysławski wypuczył małe oczka, podniósł prawą rękę, jakby do protestu, gdy na stół zjawiły się raptem sosiski, z których uchodząca para, mile łechcąc nozdrza położyła kres nowemu nieporozumieniu jednomyślących synów Litwy.

Po zniknięciu tego przysmaku zabrał głos pan Chomlicz, który do tej pory do rozmowy

się nie wtrącał, zajęty będąc uprzątaniem przygotowanych darów Bożych.

— My w Wilnie jeszcze się bardzo dobrze trzymamy, mówił powoli, jakby bojąc się zmęczenia, i praca idzie całą siłą pary, na każdym kroku w oczy bije.

— Senność, rzucił znany pesymista p. Kazimierz.

— Przepraszam pana, ale trzeba być prawdziwie sennym, aby nie widzieć; no proszę, wybory do Dumy, Komitety rodzicielskie, plan miasta, tramwaje elektryczne, kanalizacya.

A pożyczka, dwanaście miljonów,—tu spójrzał hardo po zebranych.

— Tak, pierwsze trochę, drugie na papierze i języku, a co do pożyczki, no, kto sprytniejszy, będzie sobie kieszenie napełniał, odciął pan Kazimierz.

— Kieszenie na-peł-niać, na pa-pie-rze, wam młodym to się zdaje tak łatwo... wszystko będzie, i uczciwie będzie, lecz trzeba czekać.

— A tymczasem, przerwał z gorzkim uśmiechem pan Kazimierz, musimy jeździć tramwajami, do których zaprzęgają wygłodzone i pokaleczone konie, musimy znosić grubjaństwa ordynarnego konduktora, od którego żądać grzeczności nie mamy prawa, bo według przysłowia „jaka płaca taka praca", za pięć złotych żaden

człowiek inteligentny nie podejmie się szesnaście godzin dziennie pracować.

— To prawda, że z tramwajami u nas bieda, ale to kwestja czasu, i z chwilą, gdy miasto weźmie je w swoje ręce, zaprowadzi elektryczne, to i personel odpowiedni dobierze, lepiej go wynagradzając, cedził p. Chomlicz.

— A kanalizacya? szepnął nieśmiało, blady współpracownik „Słońca“.

— I to będzie, czekajcie, nie wszystko razem, ryknął już zaperzony pan Chomlicz.

— Czekajcie! czekajcie! zaczął znów pan Kazimierz. Łatwo to panu głosić, który mieszkasz w sześciu pokojach z wejściem od ulicy, ale zapytaj pan tych parjasów, co mieszkają w podwórzu podobnym do kurnika, zapytaj ich, czy im dobrze, lub idź i zajrzyj tam, a pociągnij nosem, zobacz rynsztoki nigdy nie przemywane, z których odurzająca woń bije; sprobój wody ze studni, sąsiadującej z dołem kloaki. Niedość tego, zobacz pan całe gospodarstwo wiejskie składające się z kilkunastu kaczek, roskoszujących się w kałużach błota, kilkanaście kur, a nie rzadko u oszczędnej gospodyni, która ze stróżem żyje w dobrej komitywie, prosiaka, no i całą czeredę psów, wykonywujących roskoszne harce. A dodajmy do tego obrazu kilka lub kilkanaście dzieci, bladych, brudnych i oberwanych, wyległych z wilgotnych suteryn i zaciekających poddaszy, a będziemy mieli dokładny obraz, na wspomienie którego dusza się wzdryga.

— Pan się zapalasz, p. Kazimierzu! Mamy na to komisye sanitarne, policyę, oni obowiązani doglądać czystości.

— Tak, to tak, szepnął basista.

— A to dał burżujowi lekcyę, śmiał się „Litwoman“ do „tutejszego“.

Pan Kazimierz po zaciągnięciu się papierosem, zaczął kiwać głową i prawić.

— A tymczasem nie patrzą, ci panowie lekarze i ich sanitaryusze śpią snem sprawiedliwego, a ludzie, żyjąc w tych norach, podobnych do jam kloacznych, gdzie słońce i powietrze nie dochodzi, wdychają w słabe płuca miljony mjazmatów, które zatruwając, do reszty niszczą i tak już osłabione organizmy naszej uboższej braci.

— Aha, aha, mruczał basista.

— To całe kazanie pan nam prawisz, rzekł p. Chomlicz, tłumiąc ziewanie, a myśmy się zebrali na winta, a przytem dom mój posiada duże i widne podwórze, to co mnie mogą obchodzić małe podwórka.

Po chwili całe towarzystwo przeniosło się do saloniku, pan Kazimierz pozostał sam, głowę wparł w dłonie i kiwając się mruczał pod nosem:

— Fałszywi patryoci, obłudni demokraci, dwanaście miljonów, ładny grosz...

— Osiem w piki—pas—pójdę, doszło go z drugiego pokoju.

— Byłyby i totusy, gdyby tak te dwanaście miljonów,—strzeliło mu przez głowę.

Karnawał.

Karnawał.

Brudna i nędzna jak ten mur jej przyjaciel, do którego się tuli z piętnem okropnego przygnębienia i znieczulenia na twarzy jeszcze ładnej, wychudzonej, oczach ciemnych i wciśniętych w głąb czaszki, a świecących jakimś bezdennym żalem, bezmiernym bólem... Stała oparta i wciśnięta w załamanie się muru jak szkielet w anatomicznym oddziale.

Do obnażonej piersi cisnęła rozpłakane dziecko, mówiąc głosem pieszczotliwym,—luli Janeczku, luli!

Płacz dziecka nieustawał, nie uspakajała go i pierś matczyna, którą chwytał bezzębnemi dziąsełkami i targał nią zawzięcie, chcąc chociaż jedną kroplę wydobyć z wyschniętej i pustej piersi.

Wiatr północny, mroźny, przenikający do szpiku, obrzucał swemi falami kobietę i gołą jej pierś, karmicielkę... A ona stała jak owa bryła śnieżna, — stężała nędzą, straszna swym głodem - matki i łachmanami. Znieczulona i prawie martwa. Przyszła tutaj z myślą i po to

tylko, ażeby użebrać kilka groszy, chciała ratować dziecinę swoją od smierci głodowej.

Przechodnie otuleni w ciepłe futra i palta szybko mijali nie zwracając uwagi na nią, a z jej ust posiniałych nie wyszedł ani jeden jęk, ani jedna skarga, ani jedno słowo prośby.

Snuły się godziny. Dziecię przyciśnięte do piersi, zmęczone płaczem, lub może skostniałe od zimna, leżało spokojnie. Gwar uliczny począł cichnąć; tylko z przeciwnej strony na drugiem piętrze z okien jasno oświetlonych łuna biła i dolatywały do uszu kobiety głośne dzwięki muzyki, pomieszane z głosami rozbawionych gości. Tak, salon naprzeciwko bawił się całą siłą potarganych nerwów, wyfraczeni panowie w białych rękawiczkach unosili się w wirze rozkosznego walca, a piękne panie w ponętnych i lekkich secesjach odsłaniających białe ich łona rzucały wyzywające i upojone spojrzenia. W przyległym pokoju podtatusiali panowie z dobrze zaokrąglonemi podbródkami, siedząc przy zielonym stoliku, zabawiali się grą. Pieniądz płynął jak lawa z gardzieli krateru. Salon bawił się i szalał, bryzgał szampanem, trząsł się od śmiechów i wiwatów...

A tam pod szarym murem nędza, całą ohydą swej potęgi cisnęła za gardło stojącą kobietę z dzieckiem, wyczekującą jeszcze od litościwego przechodnia datku.

Przechodnie ukazywali się coraz to rzadziej, a i ci z nosami wtłoczonymi w podniesione kołnierze paltotów, zapatrzeni przed siebie, szli, nie widząc kobiety wtulonej w ciemny kąt kamienicy.

Było już dobrze po północy gdy stróż bezpieczeństwa publicznego obchodząc, spostrzegł żebraczkę.

— Czego tu stoisz? idź do domu bo zmarzniesz, mówił szorstko rozkazująco.

— Panie, jam głodna, szepnęła błagalnym tonem.

— Won, a to do «ucząstku».

— Dziecko mi z głodu umiera, od wczoraj jeszcze nic nie jadłam.

— No to idź już, idź, mróz wielki, a i «pristaw» nadejdzie i do «ucząstku» pójdziesz.

Myśli kobiety poczęły się plątać i rwać jak siatka pajęcza, kiedy za ciężki owad w niej się zaplącze.

A gdzież ona pójdzie, wszak dziś jeszcze wypędzili ją ludzie, u których wynajmowała „kąt“ za rubla miesięcznie. Gdzież się podzieje! Oto lepiej niech tutaj zmarznie, niech tutaj skona i wszystko niech się już raz skończy.

I fala krwi uderzyła do głowy, a ciało zadygatało od wewnętrznego buntu, zbudzona dziecina poczęła kwilić i szukać otwartą buzią matczynej piersi.

— Nie pójdę, rzekła twardo.

— Mowię ci babo że idź, a to, podniósł pięść.

— Nie bij, warknęła.

— To idź!

Chwycił ją za rękę chcąc odciągnąć od muru.

— Nie pójdę, nie pójdę, mówiła ze wzrastającym uporem chcąc wyrwać swą rękę z rąk policjanta.

Drugą ręką chwycił ją za ramiona i pchnął przed siebie.

Zachwiała się jak pijana. Pchnął jeszcze raz, potoczyła się i padła wypuszczając z rąk dziecko...

— Ratunku! ratunku! krzyczała szalona bolem i wściekłością.

Nadbiegł jeszcze jeden policjant oraz kilku stróżów nocnych i paru przechodni.

— Co się stało, zapytał jakiś jegomość szczelnie otulony w bogate futro.

— Pijana i krzyczy, objaśnił stójkowy.

— Panie jam głodna, dziecko mi zabili, wyła w rozpaczy.

— Nie krzycz, mitygował stójkowy.

— A, tak, tak, pijana, no to weźcie ją niech się wyśpi, rzekł pan i poszedł dalej. Zawołano dorożkę i opierającą się jeszcze kobietę wsadzono siłą do niej i w asystencji stójkowego i stróża powieziono do cyrkułu.

A miasto się bawi, bale jedne za drugiemi wyrastają jak grzyby po deszczu, a komisje rozmaite wysilają swe mózgi, aby te bale się udawały...

Więc fraki, więc kostjumy, szampan, karty, a z łachmanami precz!...

Szarzyny Wilna. Wł. Gutowski.

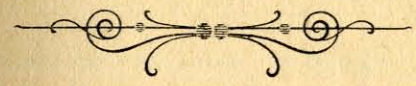

CZASZKA

Z dumań jesiennych.

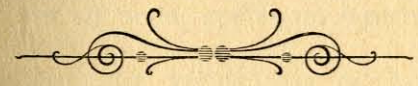

CZASZKA.

Z dumań jesiennych.

Od wielu lat stoi sobie na biurku, szczerzy poczerniałemi zębami, i tyle.

Parę razy przychodziła mi chęć pozbyć się jej, a nawet raz żartem palnąłem ją w ten świecący i bezmyślny czerep, i wierzcie mi, ani jękła...

Zadzwoniła tylko zębami, a jeden lżej osadzony potoczył się do nóg moich.

— Wyrzuć mnie na śmietnik, lub oddaj mię ziemi, i nie bij mnie, rzekła mi łagodnie tejże nocy we śnie.

I chciałem tak zrobić lecz ta bezmyślna skorupa stała się poprostu pewną cząstką mojego życia.

Tak, tak, ona żyje życiem mojem... Bo jeżeli mi ciężko, gorzko i trudno, i borykam się z niepewnem jutrem i niepomyślnym dniem dzisiejszym, to ta odarta ze skóry głowa, ten marny i głupi i wstrętny kawał kości, to bezmyślne, bezduszne, nic, nic—sympatyczniej patrzy się w moje oczy...

Ba! mało jej, tej resztce... moich oczu, patrzy mi tam głęboko—do serca: wżera się jak wampir i z jakąś zatwardziałą rozkoszą, tym uporem trupim—uparcie spokojnym — patrzy i patrzy w to moje tętniące serce.

Życie każdego człowieka, to Golgota. Dzisiejsze smutki gonią za jutrzejszemi nieszczęściami,—dzisiejszy deszcz wywołuje na jutro słońce. Dla tego urodził się Stefan, że umiera jego ojciec, czy też dziad.

* * *

Jesień. Podła, bezbarwna jesień. Wichura dudni, wyje i targa zawzięcie źle obsadzonym szybrem w napoły rozwalonym piecu, który po przyjacielsku ugaszcza zimnego gościa, stękając niemiłosiernie. Na dworze wielkie płachty mokrego śniegu tępo uderzają o zamorusane szyby mojego okna, przez którego szczeliny i szpary wyjący wicher wciska się gwałtownie, napełniając żałosnemi jękami i skomleniem wnętrze mojej lodowni, przez gospodarza—starowiera szumnie zwanej pokojem.

„Litwo Ojczyzno moja“ zacząłem cedzić przez zęby w celu rozgrzania gardła.

Bum, bum, bum,— żałośnie odpowiedział dzwon Ostrobramski.

Jeszcze djabelniej zrobiło mi się zimno i smutno.

— Gdyby tak choć szklankę ciepłej herbaty,—dzwoniło w uszach.

— A może jeszcze bułkę z masłem, — zamruczał pusty żołądek.

— Kieliszek litewskiej starki, — zahichotał wiatr.

— Lub różowy i jędrny buziak dziewczęcia ośmnastoletniego, o białych jak z kamienia wykutych ramionach—wytykając głowę zahuczały żądze.

— A może lepiej sznurek na gardziel, i na hak...

Spojrzałem na czaszkę—stała, wyszczerzając obrzydliwe ciemne zęby.

— Głupia jesteś—syknąłem przez zęby.

— Głupia, głupia, łomocząc ścianami pieca, gwizdał wiatr.

I w tym przeogromnym gwarze nędzy mojej, uczułem jedno wielkie pragnienie,—śmierci—śmierci.

— Pójdę do ciebie,—szeptałem, patrząc w ciemne oczodoły czaszki.

Wtem posępne oczodoły zaczęły świecić jaśniej i jaśniej, przebiły żałobnie i posępnie myślący mózg mój i weszły mi do serca.

* * *

Wydawca moich szkiców, poczciwy i chmurny litwin wręczył mi całe sto rubli. Prawdziwą radość i rozkosz uczułem w całem mojem jestestwie, sympatyczne ciepło wiało z dziurawej kieszeni, napełnionej papierową monetą. Czułem rozkoszną i przytulną ciepłotę, która wystarczyć powinna na całą zimę, widziałem na sobie ciepłe nowe watowe palto, dwa czyste „płócienne“ kółnierzyki tygodniowo—i gorące obiady przez jakiś czas.

Ogarnęła mnie niewysłowiona radość, buchnęła jasnym szkarłatem, owinęła ciepłemi ramionami, przytuliła gorące usta, wołając pij, pij!...

Sto rubli! pal licho—taki marny grosz, a jednak wiele w niem siły dla takiego nędzarza. Naprawdę można oszaleć!

Nie—już więcej na biedę skarżyć się nie będę, przeszedłem, co prawda, niezłe cięgi—dobrze dało mi się we znaki, ale teraz furda; niech sobie idzie ta moja serdeczna... na zatracenie.

Radością moją podzielić się musiałem z czaszką.

— Patrz głupcze, ile monety—rzekłem podsuwając jej pod nos szeleszczące papierki—patrz i ciesz się.

Ciemno-szary kolor kości nad oczodołami

począł blednąć i po chwili zamienił się w jasno świecący.

— Lubiłaś kiedyś brzeczącą mamonę, ciekawa rzecz, naco ci ona była potrzebną? Gadaj!

Czaszka milczała.

— I czego milczysz!—mówię, ciesz się mojem szczęściem.

Jeszcze milczała—tylko w tych ocznych dołach zamajaczyło jakieś niewyraźne światełko.

Zaczęła mnie porywać pasja.

I byłbym ją grzmotnął pięścią—lecz spojrzała mi w serce...

* * *

Po kilku godzinach spędzonych w klubie jestem znów przy biurku z ociężałą głową i apatyczną zadumą.

Przyjaciel mój i lokator—trupia czaszka, na zwykłem miejscu.

— Djabli flotę wzieli, co! a kto temu winien, co?—pytam.

Milczy; tylko nad oczodołami poczyna ciemnieć świecąca kość, a same dziury, w których mieszkały kiedyś przypuszczam prześliczne niebieskie, lub czarne oczy, teraz czernieją bezdenną pustką.

— Będzie i tobie bieda, będziesz marznąć w nieopalonem mieszkaniu, nieboże, będzie źle, prawda?

Milczy — ale już pokryła się tak ciemną warstwą, iż nie mogę rozpoznać, gdzie oczy, czoło, a nawet te cztery wstrętne zęby. Szczęściem lampa paliła się dosyć jasno i w jej świetle wyjrzał kawałek zadartego nosa.

— Chowasz się, wstyd ci, że posiadasz takiego przyjaciela, ale nic... będziemy pracowali dalej... dopiero wrzesień... w listopadzie, a nawet, czasami w grudniu polscy literaci, malarze, artyści noszą palta... Widzisz, polski kraj ubogi—w rozsądne głowy... ale głupstwo, jakoś tam będzie... zimno co? a w piecu... a, jakoś tam będzie.

Nierozebrany rzuciłem się na łóżko, — we śnie przyszła do mnie... taka strojna, taka piękna, taka młoda... patrzyła habrowemi oczyma, szeleściła jedwabnemi szaty, tuliła do mych piersi prześliczną twarz, odurzała zapachem hebanowych włosów, gorąco, czule prosiła:

— Patrz, byłam taką... kochali mnie i szanowali: rycerze czołem przybranem w przepyszne hełmy przedemną bili... dziś jestem u ciebie... nie bij mnie, nie męcz mnie, jezeli jesteś człowiekiem...

Złożyła jak do modlitwy białe rączęta, a potem objęła mi szyję i wionęła mi w oczy swoim już naturalnym trupim zapachem. Brrr... otworzyłem oczy... w pokoju ciemno... Na biurku stała trupia czaszka,—taka sama, skromna, a

potężna i wielka swoją bezmyślną spokojnością, takie marne nic... tylko w tej chwili w dziurach ocznych świeciła jasnozielonemi płomykami...

— Cieszy się, mruknąłem, kołysząc ociężałą głową.

— Cieszy się, szepnęły ledwie dosłyszalne echa.

— Lecz z czego się cieszy? spytałem machinalnie.

— Bo żyjesz i jesteś podobno człowiekiem, rzekło sumienie.

— Lecz cierpię, a chcę rozkoszy?...

— Milcz, rzekło serce—jesteś polakiem, a polak to cierpienie...

— Cierpienie to Bóg, warknąłem.

— Nie bluźnij—szepnęło sumienie.

* *
*

Dzisiaj znów jestem tym zwykłym człowiekiem, siedzę i pracuję, z lewej ręki mój towarzysz—trupia czaszka, a wprost na ścianie Kościuszko w konfederatce, lewą rękę trzyma na karabeli. Na prawej zbutwiałej ścianie spadają wielkie szare krople wilgoci i przyświecają brylantowemi blaskami posępnej rzezi Pragi, a tam dalej koło pieca, wali milczący bohater Czarniecki na karkach szwedzkich — zda się ziemia jęczy... a na dworze jesienny zimny

wicher zawodzi pieśń pogrzebową uciekającemu ciepłemu latu, i brata się z jękiem rozkołysanych Ś-to Jańskich dzwonów, zwołujących pobożne rzesze na Mszę świętą.

W izdebce mojej grobowy chłód—a w potężnym jęku Jagiellońskich dzwonów—Grunwald.

— A co! marność i potęga—potęga i marność, gadam do ucha mej czaszce, rozcierając skostniałe palce.

* * *

Przed kilkoma dniami znowu przyszła do mnie—we śnie.

— Zgadnij, kto jestem? zapytała pokazując obrzydliwe cztery zęby.

— Nie potrzebuję zgadywać, gdyż wiem dobrze, że jesteś, jesteś niczem—rzekłem szyderczo.

— Niczem? mylisz się—szydziła.

— A czemże?

— Jestem przeszłością—rzekła już twardo.

— A, przeszłością... no, więc cóż?

— To, że ty jesteś polakiem.

— Filozofka—pomyślałem sobie.

— A zatem jesteś przeszłością—gadaj, co chcesz przez to powiedzieć?

W oczodołach zaświeciły jasne blaski; tak jasne i pełne siły, jak je spotykamy na obra-

zach męczenników, idących do rozpalonego pieca za wiarę.

— Chcę, chcę, abyś mi powiedział kto ty jesteś?—rzekła wolno i dobitnie.

— Jestem człowiekiem... Chcę nim być. Chcę...

— O tem wiem—ale jeszcze, jeszcze...

— Jestem polakiem.

— A! więc jesteś człowiekiem—czynu, czynu.

— Chcę nim być.

— Musisz... musisz... rzekła namiętnie i twardo.

— Dla czego?

— Bo musisz... gdyby było inaczej, tobyś mnie dawno wyrzucił od siebie.

— Trzymam cię u siebie, dla tego że mi się tak podoba.

— Kłamiesz!

— Nie—

— Tak, bo ty masz mnie w sercu, we krwi, w mózgu, wszędzie, rozumiesz, wszędzie... Jam przeszłość — więc siła. Ty mię wyrzucić nie możesz, bo spodlejesz. bo staniesz się niczem... tak...

— My dziś jesteśmy prawie niczem.

— Milcz... czekaj... i wierz.

„Sen mara Bóg wiara“ a jednak dziwnie patrzy się na mnie z tego zbutwiałego obrazu Żółkiewski, potężny starzec—wielki rycerz...

Tacy już dzisiaj się nie rodzą... W zbutwiałych trumnach śpi potęga, a my karły, cyrkowi pajace, lubimy brzęczyć dzwoneczkami... a byle jakaś trupia czaszka, chce nas rozumu uczyć... zdziera sen ze zmęczonych powiek i wrzeszczy proroczym głosem:

— Patrz w przeszłość—i wierz w przyszłość!...

Smutna prawda.

Smutna prawda.

Bezdenny smutek, rozlany na twarzy mej towarzyszki, drażnił mnie do najwyższego stopnia, słowa płynące z jej ust rozstrajały mi nerwy i psuły dzisiejszy wieczór, który obiecałem sobie spędzić wesoło. Nie mam szczęścia, myślałem w duchu, słuchając smutnych prawd rozżalonej opiekunki miejscowej nędzy, to też chcąc koniec położyć rzekłem:

— Cóż ja na to poradzę, szanowna pani, gdybym był bogatym...

Nie pozwoliła mi dokończyć zdania, a głosem jeszcze smutniejszym rzekła:

— Tę piosnkę słyszę od każdego, a tymczasem spustoszenie coraz większe ogarnia te szeregi nieszczęśliwych nędzarzy. Kto nie styka się z ludnością odległych krańców miasta, ten nie ma najmniejszego pojęcia, co się tam dzieje, wiele tam bolów i wiele nędzy, i jakiej strasznej i ohydnej nędzy. Wie pan, że jestem członkiem w komitecie nad biednymi, mam rewir w okolicach drogi żelaznej, chodzę tam prawie codziennie i patrzę na te nory ciemne, wilgotne

Szarzyny Wilna. Wł. Gutowski.

i wstrętne, które zamieszkuje ludność uboga. Czy pan wie, że po pięć rodzin gnieździ się w jednym pokóju, który ma dziesięć łokci długości i dziesięć szerokości. Przed kilku dniami w jednej z takich nor umarła kobieta; pozostało pięcioro dzieci, najstarsze ma lat dziesięć, a najmłodsze rok. Ojciec był kelnerem, nawet nieźle zarabiał, mieli przeszło sto rubli gotówką. Wracając raz z zajęcia przeziębił się, długo chorował na zapalenie płuc, wyzdrowiał niby, ale wyszedł do pracy zawcześnie, bo pięcioro dzieci wołało jeść, a gotówka się wyczerpała. Po kilku dniach zrobiło mu się gorzej, a po dwóch miesiącach umarł, podobno na galopujące suchoty. Wdowa jak mogła, to praniem, to posługą zarabiała, lecz taka praca nadmierna wycieńczyła biedaczkę i oto przed kilku dniami umarła na suchoty.

— A cóż się z dziećmi stanie? spytałem czując jakieś dławienie w gardle.

— Już dobrzy ludzie zaopiekowali się sierotami, jakaś biedna stolarzowa wzięła najstarszą, daleka krewna nieboszczki, której mąż służy na kolei dróżnikiem, wzięła dwoje, czteroletnią dziewczynkę zostawiłam u siebie, a najmłodszego chłopczyka oddaliśmy na wychowanie do jednej kobiety.

— No, to nie jest tak źle, jak w początku przypuszczałem.

— Właśnie, że jest źle, bardzo źle, gdyż takich obrazów okropnej nędzy jest tysiące w samem Wilnie, a w tym roku z przyczyny długiej i mroźnej zimy więcej, niż w latach przeszłych, a tu ofiarność ze strony publiczności zamożnej nadzwyczaj skąpa i niema czem ratować od głodowej śmierci tych biedaków. Drożyzna wielka, a zarobków nie mają żadnych i wierz mi pan, że z nastaniem cieplejszej pory, choroby zakaźne mają grunt dostatecznie przygotowany.

— A jak temu zaradzić, rok ten wszystkim dał się dobrze we znaki, każdy narzeka i kurczy się, gdyż każdemu ciężko, fabryki stoją, a handel upadł do tego stopnia, że kupcy grożą zamknięciem całego szeregu swych...

Żachnęła się, a twarz jej poczciwą i inteligentną wykrzywił uśmiech ironiczny i bolesny. Ruchem nerwowym wyjęła № 46 „Dziennika Wileńskiego“ i podsuwając mi do oczu dobitnie rzekła:

— Co innego pan mówi, a co innego dowodzą fakta, przecież najwyraźniej napisano tutaj, że: „dochód z kart w tej instytucji wyniósł w ciągu jednego roku 38 tysięcy rubli. Smutne, lecz prawdziwe“. Widzi pan, fakt nie potrzebuje komentarzy!

I zapalając się rozgoryczonym tonem rzekła:

— Gdy kobieta z dziećmi w zimnej i wilgot-

nej norze na gołej ziemi, gdyż łóżko i łachmany już dawno na kawałek chleba sprzedane, kona z głodu, zimna, i wycieńczenia, gdy sieroty bezdomne, nagie i głodne szukają po śmietniskach zaspokojenia głodu, gdy nędza całą potęgą smaga te tysiące zbolałych i głodnych braci naszych, to na otarcie tych łez krwawych społeczeństwo jest za biedne! Społeczeństwo jest za biedne! Społeczeństwo kurczy się, jak pan mówisz, a Moloch przy zielonym stoliku bogaty haracz zbiera. Kluby się mnożą, a zielone stoliki zgarniają pieniądze, hazard kwitnie, i oczy żon nie osychają z łez. Źle się bawicie, panowie, i źle służycie społeczeństwu!

Pod murem.

Pod murem.

Gdyby tak iść na tamtą stronę — myśli żebrak, patrząc pożądliwem okiem na złotemi blaskami słońca, oświetlony parkan.—Głupie ludziska—słońce piecze, że tylko wystawiać plecy. Najmarniejszy robak do słońca pełznie, a przecież nikt mu nie każe, sam wie co dobre, a co złe. A ludzie to co? Tu splunął ze złością.— Gdyby jeszcze co piąty coś dał. Człowiek dla głupiej kopiejki stoi i czeka, a czapkę przed nimi zdejmuje.

Dalsze żebracze mamrotanie przerwała nadchodząca pani. Żebrak wcisnął się pod mur, przybrał proszącą minę, lewą rękę oparł ciężko na kiju, a prawą uzbrojoną w czapkę, wyciągnął przed siebie.

— Litościwa osobo, choć jeden grosiczek, głodny jestem—chory jestem—biedny jestem— jęczał przeraźliwie.

Przechodząca pani szybko minęła żebraka.

— Taka pani — mruknął, wykrzywiając wzgardliwie usta i pakując czapkę na kudłaty łeb. Bystre spojrzenie rzucił na wszystkie strony,

a widząc, że nikt nie nadchodzi, wyprostował przygarbioną postać i znowu pożądliwie spojrzał na przeciwną stronę—na oblany słońcem parkan.

— Gdyby jeszcze z pięć kopiejek zarobić, a wystarczyłoby jak raz: „kruczek“ dwanaście groszy, kiełbasa pięć i bułki pięć, i poszedłbym na słońce—i znowu spojrzał bacznie i ucieszył się w duchu.

O jakie dwadzieścia kroków z prawej strony szła „parka“ młodych, żywą zajętych rozmową.

— Ci już dadzą — mierząc okiem znawcy szepce rozradowany.

Zaraz też przybrał minę bardzo nieszczęśliwego i nawet zaczął się nerwowo trząść, wydając z głębi piersi jakieś przyduszone jęki, czy skomlenia; w miarę zaś zbliżania się młodych ludzi żebracze ciało coraz bardziej podskakiwało, a siwiejąca głowa kręciła się na wszystkie strony, jak u człowieka nawiedzonego chwilą choroby Ś-go Wita.

Młodzi, snać zakochani, zajęci tak byli sobą i zapatrzeni we własne oczy, że nie spostrzegli podskakującego ciała biedaka przy murze. Ten zaś, widząc, że wymyka mu się pewna zdobycz, zaczął gromkim głosem jęczeć i wzywać pomocy:

— Litościwi ludzie, panowie! Bóg wam zapłaci.

Krzyk rozpaczy usłyszał młodzieniec, obejrzał się, i widząc nieszczęśliwego żebraka, przystanął i sięgnął do kieszeni, lecz w tej chwili zapytała o coś towarzyszka, i posunęli się dalej. Żebrak za wygranę nie dał i młodzieńczym krokiem rzucił się za odchodzącymi.

— Umieram z głodu, wielmożni państwo. Bóg was na przyszłość pobłogosławi — jęczał złamanym głosem.

Lecz młody pan już nie słyszał i rękę miał zajętą, bo właśnie w tej chwili ujął towarzyszkę pod ramię.

— Bodaj was cholera — mruknął ubogi patrząc za mini nienawistnie.

Godzina za godziną płynęły, ludziska przechodzili, żebrak przybierał najrozmaitsze pozy i miny, wysilał się, aby tylko wzbudzić litość, doczekać się tych upragnionych dziesięciu groszy. Raz cicho modlił się, to znowu niemiłosiernie jęczał, kurczył się, wykrzywiał i pożądliwie spoglądał na słoneczną, pustą stronę ulicy.

— Nic, tylko mi ktoś dziś „zadał“—mruczał, zgrzytając ze wściekłości zębami, i splunął na trzy strony dla odpędzenia „złego uroku“.

Po chwili upamiętywał się; zapuszczał bystry wzrok w dal chodnika, a widząc, że ktoś idzie, naprędce przyoblekał się w nową postać. Ostatecznie postanowił kłaniać się już i ludziom biedniej ubranym. Nadchodziła służąca.

— Panienko, wesprzyj nędzarza, nic nie jadłem...

Służąca przystanęła. Spracowanemi rękami sięgnęła do kieszeni.

— Macie cztery grosze, za duszę Stanisława i Ludwiki.

— Wieczne odpoczywanie, racz im... jeszcze trzy kopiejki brakuje...

Na stanowisku.

Na stanowisku.

I dawniej przychodziły na nią takie złe chwile. Ba, bywało nawet gorzej.

Tedy co robić?.. Na siłę, oto, dźwigała się z łóżka... A chociaż tam we łbie wyło, huczało, a młotem po skroniach waliło, to i cóż?... Rękawy zakasywała, do garnków nalewała wody, siekierą naszczepała drzazg, i za chwilę wesoły ogień dna garnków podgrzewał.

Dziś leży jeszcze w łózku, i dzwignąć się nie może. A tu stary zegar chropowatym głosem zaczął wybijać godzinę siódmą.

— Dla Boga!—myśli—co ja też najlepszego robię!... Za godzinę Julek musi być w gimnazjum.

Chwyciła obydwiema spracowanemi chudemi garćciami skronie i szeptała:

— A to podlec!... no, na... żeby tak boleć!

Bała się, ażeby głośniejszym krzykiem czy westchnieniem, nie rozbudzić dzieci śpiących, ażeby ich nie przestraszyć...

Na dworze wiatr hulał, miotając zapamiętale gęstym deszczem w niewielkie szyby okien.

Gorączką rozszerzone źrenice utopiła w zapłakane szyby.

— Taka szaruga... Julek weźmie ceratowy płaszcz... Franeczka głębokie kalosze... Stach cieplejszy paltocik...

Przeziębić się mogą... Licho nadało z taką pogodą w maju!

I znowu nienawistnie, z obrzydzeniem spójrzała w okno. Uniosła się na łokciach, lecz wnet schwyciła się za lewą pierś.

— I tu też boli... a ścierwo!—syknęła wykrzywionemi wargami, usuwając się na poduszkę.

Za chwilę otworzyła oczy, odetchneła głęboko. Miarowy takt starego zegara zaczął ją znowu wołać na stanowisko.

— Zaraz, zaraz już wstaję... nie leć tak prędko!—mówi cicho, smutnie, patrząc ostrym swym wzrokiem w szarą twarz zegara.

Stary klekot ani myśli zastosować się do dziwnej pretensji chorej kobiety i uparte „tik—tak“ jeszcze głośniej wypowiada.

Wreszcie zahuczał, zazgrzytał i uderzył na nowy alarm.

W leżącą nieruhomo kobietę, jakby piorun trzasł. Zerwała się prędko. Chyciła trzęsącymi się, patykowatymi palcami szarą spódniczynę leżącą w nogach, nerwowo przerzuciła przez głowę, spięła na haftkę w pasie. Mocno wy-

szmelcowany, barchanowy w kratkę kaftanik, wciągnęła na wystające łopatki. Bolącą głowę ścisnęła mocno kolorową chustką, a na chude, bezmierne, jak szkielety nogi, obmotane napęczniałemi guzowatemi żylakami wciągnęła wycerowane, rude od starości pończochy, podwiązała przy kolanach jakiemiś brudnemi szmatami a stopy płaskie, z wystającemi jabłkami, wsunęła w pokoszlawione, rozchlebotane pantofliska. Ubierając się, może po raz piąty rozpoczęła pacierz.

— Zdrowaś Maryo, łaskiś pełna... szeptała—Frania dostała nową lekcję... błogosławionaś Ty między... zapracuje się biedaczka... święta Marjo... aby tylko Julek skończył gimnazjum.

— Raptownie drgnęła.

— Juluś! Juleczek! wstawajże prędko! piętnaście minut po siódmej—zawołała łagodnie.

Pucołowata twarz szesnastoletniego chłopaka wysunęła się z pod kołdry.

— Mateczko, a może jeszcze tak z dziesięć minut?

Mateczka udała zniecierpliwienie.

— Wstań, wstań! Spóźnisz się jeszcze!

Julek przeciągnął się leniwie, wyprostował jedną nogę a potem drugą, wyprężył ręce, a w płuca, jak w miechy, wciągnął powietrze.

— A to się wyspałem—rzekł w końcu.

Po chwili odwrócił twarz i zaczął szukać wzrokiem matczynej postaci.

— Mamusiu, mamusiu, a jak tam dziś głowa?

— Lepiej, syneczku... lepiej—szepnęła.

Skłamała. Głowa bolała dziś ją szalenie, a nawet podle, ohydnie, tak jak jeszcze nigdy! Na dobitek złego przyplątał się jakiś djabelnie mocny ból w krzyżu i w piersiach... Tam gdzieś, pod sercem, była jakby rana, czy też świeży, niewezbrany jeszcze wrzód. Z tego to miejsca, jak gdyby z głównego środowiska, co kilka chwil wypełzał lekko, ostrożnie, jak pies do kuropatwy, maleńki ból... Co chwila, co moment, rozszerzał się, rozrastał, jak potok raptem wstrzymany zatorem; potężniał, gniótł kiszki, żołądek, wątrobę, płuca. Wązka i marna klatka piersiowa zamieniała się wtedy w jakiś potwornie syczący, piszczący, jęczący aparat... cienkie żebra, tłoczone wewnętrznym tym bolem, wstrętnie wyginały się na zewnątrz. Wtedy bezwiednie, a rozpaczliwie, chwytała się zagiętemi, jak u jastrzębia, palcami za łóżko, za stół, czy za zelazne pręty, podtrzymujące blaszany daszek nad kuchnią—i tak w tem bolesnem odrętwieniu siedziała chwilę w oczekiwaniu końca ataku.

— Żeby tylko dziś uporać się ze śniadaniem!—myślała, szeroko otwierając blade usta dla nabrania tchu.

O, Matko Częstochowska! ratuj, ratuj! a to oni pomarnieją bezemnie!

Spojrzała na wskazówki zegara.

— Juleczek! — zawołała na syna—Juleczek, patrz, już talerze na stole, a ty jeszcze w łóżku!

— Już, już mamusiu...

— Dziś deszcz pada, płaszcz ci przyszykowałam...

Odeszła w drugi kąt pokoju.

— Leniuszku, a wstawaj!—mówiła, nachylając się nad głową, otoczoną prześlicznym czarnym lasem gęstych włosów.

Z pod kołdry wysunęły się dwa przepyszne śnieżne ramiona.

— Dzień dobry, mateczko!—zadźwięczał wesoły głos.

— Dobry, dobry, trzeba wstawać—szepnęła pełnym miłości głosem.

Śliczne ciepłe ramiona podniosły się jeszcze wyżej i objęły wychudłą matki szyję.

— Wie matuchna, miałam dziwny sen... śnił mi się ojciec... Jechaliśmy statkiem do Werek. Wszyscy się bardzo cieszyli, słońce świeciło niezwykle jasno... wesołość, radość aż tryskała z każdej twarzy, a szczery serdeczny śmiech głuszył głośny klekot rozpędzonych kół statku. Mały stateczek pędził jak wyścigowy koń. Za nim goniły bezustanku, bez zmęczenia śliczne błękitne fale rozgniewanej Wilji... Wtem

Szarzyny Wilna. Wł. Gutowski.

spostrzegłam, że ciebie, matuchno, niema miedzy nami... Zaczęłam cię szukać, i tam na samym tyle statku znalazłam mateczkę samą... samutką, jak sierotkę, we łzach...

— We łzach?

— Tak, mateczko. Płakałaś, ale tak cicho, a tak żałośnie... Zarzuciłam ci ręce na szyję... tak, jak teraz, i tuliłam twoją drogą głowę do piersi... Płacz twój nie ustawał, łzy płynęły... a jakiś cichy bolesny jęk, jakby straszna przyduszona skarga, wyrywał się z twojej piersi... Wtedy zaczęłam i ja płakać... Aż tu spostrzegłam, że łzy nasze łączą się, rosną do potwornych rozmiarów i naraz z hukiem oberwanych głazów wpadają do wody! Zawsze tak łagodna Wilja, pod uderzeniem tych łzawych brył zaczęła się pienić i burzyć, a statek przechylać i zapadać w odmęt wodny...

Już woda sięgała naszych stóp, doszła do kolan...

— I co więcej?

— Nic matuchno. Przebudziłaś mnie. Dobrze, że obudziłaś, bo woda była bardzo zimna, a śmierci się boję...

Naraz twarz matki wykrzywiła się od okropnego bólu, a z siniałych ust wystrzelił okrzyk.

— A! a! o! o!

— Mateczko co tobie? Matuchno, ty, ty!

W rozpaczy świeżemi, jak poranna rosa,

drżącemi wargami wodziła po chudej pomarszczonej twarzy rodzicielki. Twarz matki przybierała coraz okropniejszy wyraz. Straszny ból łączył się z nadzwyczajnym przestrachem.

— Julek!—krzyknęło nagle dziewczę.

Na dźwięk tego głosu rozpaczy, matka drgnęła. Jeszcze bardziej otworzyła oczy, pełne lęku, jedną ręką konwulsyjnie ścisnęła żelazną poręcz łóżka a drugą poczęła rwać na piersiach barchanowy kaftan.

— Dusi, dusi...—wykrztusiła z wysiłkiem.

I upadła na podłogę.

. . . . . .

— Serce jej pękło.. —mówił zimno, spokojnie, przybyły wkrótce lekarz.

Już zima.

Już zima.

Stalowe nerwy, kamienne serca, nic was nie boli, nic nie cieszy, śmiejecie się i szydzicie z łez, naigrawacie z radości, nie płaczecie, nie kochacie...

Wy, ludzie kamienie, was mało! Zato legjony tych, co ból bliźniego odczuwają bardziej, aniżeli własny, którym łzy sieroce zarzewiem palą ich szlachetne czucia, duszą jak zmora, ziębią do głębi, a każdy krzyk, każdy ból nędzy ludzkiej stowtórnem echem bije, jak taranem, w ich litościwe serca.

To ludzie-anioły! Ich głównym celem i dążnością: głodnego nakarmić, zziębniętego ogrzać, nieszczęśliwego pocieszyć, ranionego opatrzyć.

Taki anioł o twarzy spokojnej, dziwnie majestatycznej, cichy i pokorny, zapukał wczoraj do drzwi moich. Czarne oczy anioła patrzyły smutnie i błagalnie.

— Zimno, rzekł anioł cicho.

— Już zima, powtórzyłem jak echo.

— Tak, zima już, i śnieg zimnym, olśnie-

wiająco białym dywanem nakrył ziemię i bruki uliczne.

— Będzie sanna...

Twarz anioła drgnęła, a białe usta poczęły szeptać:

— Wy cieszycie się z tego, że sanna będzie, ale czy będą ciepłe ubrania dla najbiedniejszych z biednych, czy będą buciki, ażeby sieroca bosa nożyna nie brudziła śnieżnej bieli, czy będzie drzewo na opał strasznie wilgotnych i zimnych kątów biedaków, czy będzie ciepła strawa dla tych bezdomnych, opuszczonych, łachmanami okrytych nędzarzy?

— Społeczeństwo nasze posiada dużo dobrych serc, czułe jest na nędzę i łzy bliźnich, więc da z pewnością.

Smutna twarz anioła rozjaśniła się, blade usta szeptały niewyraźne słowa, a w ciemnych oczach zajaśniały blaski.

Jeżeli przyjdzie do was taki anioł, nie odmówcie swej pomocy, każda ofiara, choćby najdrobniejsza, osusza łzy, koi niedolę.

Mój przyjaciel.

Mój przyjaciel.

— Zdaje mi się, że jestem orłem o potężnych skrzydłach, które unoszą mnie po nad grodem Gedymina.

Tak mówił mój przyjaciel, Królewiak, zachwycony stojąc na Górze Zamkowej.

— Widok stąd prześliczny, rzekłem powoli; stojąc tutaj możemy czytać jak w otwartej księdze. Patrz, oto ten dom, to pałac Słuszków, dziś zamieniony na więzienie, nielitościwa ręka zdarła nawet herby tej starożytnej rodziny. Dalej widzisz kościół, jest to fundacya hetmana Paca. W tym kościele leży on sam w drzwiach wchodowych, przywalony olbrzymim kamieniem... Dziwny człowiek, prawda? Za życia deptał pogańskie karki, a po śmierci chciał aby deptano po nim. W kościele tym są jeszcze dwa olbrzymie, piękne bębny zdobyte na turkach, służyły niewiernym do rozbudzenia walki, a dziś, na ich wezwanie pobożny lud kornie chyli czoła... Patrz, tam dalej w tem otoczeniu drzew stoi pałac Sapiehów i kościół Sapieżyński pod wezwaniem Serca pana Jezusa, dziś w

pałacu szpital wojskowy, a kościół zamieniony na cerkiew. Tam dalej, hen ponad Wilją, przepiękne gniazdko przylepione do olbrzymiej Werkowskiej góry—Trynopol, dawna rezydencya biskupów naszych... Tyle piękna, tyle bogactwa, i zostały tylko wspomienia... Na murze okalającym Trynopol były niezwykle piękne malowidła, Matki Bożej i Swiętego Józefa, popsuto i to.

— Ładne i ciekawe pamiątki macie, rzekł mój przyjaciel zamyślony.

— Co krok a spostrzeżesz jakiś kamień lub kawał cegły, i gdyby te nieme głazy umiały mówić...

Urwałem, bo mój przyjaciel przystąpił, wziął mnie silnie pod rękę i rzekł twardo:

— Pracujcie w pocie czoła! Pracujcie, pokąd wam tchu starczy!

— To też pracujemy, odrzekłem zdziwiony. patrząc mu w oczy, ruszamy się i otrząsamy pył, który wżarł się w krew naszą i nasz mózg, do tego stopnia, że dziś...

— Pracować wam trzeba, przerwał mi złośliwie.

— Widzę, że nie wierzysz w naszą pracę, rzekłem szorstko.

— Wierzę, tylko jej nie widzę...

Ja zły, on zamyślony schodziliśmy z góry, trzymając się pod ręce. Gdyśmy znalezli się w Cielętniku pierwszy odezwał się mój przyjaciel.

— Przepraszam cię, Władku, widzę że się na mnie gniewasz.

— Tak trochę, zawsze widziałem cię rozsądnym, dziś prawdopodobnie jesteś w złym usposobieniu, obecnie wszyscy chorujemy na nerwy.

Uśmiechnął się dobrodusznie, mocno przycisnął mnie do siebie i rzekł:

— Widzisz, ja już cztery dni bawię w Wilnie, a mając dobre oczy widzę, że praca społeczna idzie u was żółwim krokiem. Pominę wiele kwestji ważnych, zatrzymam się tylko nad temi, które bardzo łatwo możnaby przeprowadzić. Po pierwsze, nie we wszystkich szkołach wykładają język polski, a tam gdzie on jest wykładany, nie wszyscy uczniowie polacy korzystają... Rozmawiałem z kilkoma nauczycielami, skarżą się oni, że nawet połowa uczniów nie uczęszcza na lekcję...

Powiedz mi dla czego się tak dzieje?

Zamiast odpowiedzi pochyliłem głowę.

— Od czterech dni włóczę się po ulicach, a że po rosyjsku nie umiem czytać, więc nie mogę znaleść tej lub innej ulicy. Właściciele domów też się nie śpieszą wywiesić tablic w polskim języku, czyżby to byli sami rosjanie i żydzi?

Jeszcze bardziej pochyliłem głowę.

— A wasza prasa, co... Jeden do drugiego jak wyuczone koguty w Hiszpanji, po zatem

artykuły nudne, ciężkie aż głowa boli od czytania. Wasz czytelnik do takiej prasy może się tylko zniechęcić, tutaj trzeba dawać coś strawniejszego, coby zajęło a nieznużyło, no i trzeba być samemu moralnym... bo u was w Wilnie „wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi", a z tem trzeba się liczyć, trzeba.

Jeszcze pochyliłem głowę.

— Tak, tak, mówił uśmiechając się złośliwie. Gdyby chociaż wasze społeczeństwo poczuwało się do obowiązku, i wypełniało to, co na ich barki konieczność włożyła. Naprzykład teatr, przepada, słyszysz, cała Europa śmieje się, że od teatru uciekacie, jak od czegoś zapowietrzonego! Krzyczeliście, że nie macie, a teraz macie i nie chodzicie. A wasze komitety?... Syrokomla? żal się Boże! ile to za nim wlecze się długich lat waszego lenistwa i braku poczucia obowiązków obywatelskich. A pomnik Mickiewicza! Co? wpakowaliście tą sprawę tak głęboko, że nawet dowiedzieć się niczego nie można.

— Nasze społeczeństwo nie bogate, rzekłem zadowolony, że chociaż coś mogę na usprawiedliwienie przytoczyć.

Stanął, a wlepiając we mnie swe czarne oczy, których siły wytrzymać nie byłem w stanie, rzekł:

— Co ty pleciesz, człowieku, wstyd dalibóg, wstyd słuchać, a wiesz ty, że wczoraj hrabia

Girgajłło przegrał sześć tysięcy rubli, a wiesz, że w waszem wileńskiem Monaco złoto płynie jak rzeka, że kokoty noszą aksamity, i jedwabie, i brylanty, za majątki sprzedane bankowi kolonizacyjnemu. Dzieciaku! pokazujesz, co wam zburzyli, ale mi pokaż, coście zbudowali!

W miejsce odpowiedzi, podałem mu dłoń i śpiesznie oddaliłem się od tego oryginała...

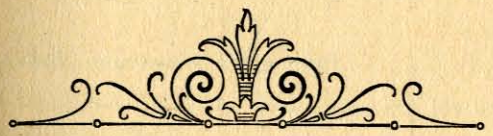

Śmiercionośne podmuchy.

Szarzyny Wilna.

Wł. Gutowski.

Śmiercionośne podmuchy.

Krokami olbrzyma idzie ona!

Nikt jej nie pożąda, nie pragnie, nie chce.

A jednak idzie... owinęła się ołowianemi płachtami, na głowę wcisnęła bajecznej wielkości czepiec z chmur, i płynie.

Pod uderzeniami jej mokrego ciała pochyliły się pnące się wysoko, ku górze kielichy przepięknych kwiatów, przykurczyły do matki ziemi woniejące główki, i cichym serdecznym szeptem poczęły prosić.

— Matulu nie daj nas, matulu, my jeszcze pragniemy żyć...

— Pragniemy żyć—skacząc po więdnących piersiach uśpionej trawki, hardo krzyknęły koniki.

— Pragniemy żyć—w lot powtórzyły echa. I powstał hardy szum i rozgwar śród czeredy skazanej na śmierć.

Wyprostowały się przygarbione grzbiety, nabrały mocnego tchu przypłaszczone piersi, a główki i kielichy strzeliły wysoko rzucając cu-

downemi barwami wsród mętnych większych i miejszych kałuż.

Wtem zahuczał jesienny wiatr; potrącił liściastą koroną zielonych krzewów, zakręcił i przypłaszczył do kałuż, warcząc groźnie.

— Z drogi precz! teraz ja pragnę żyć!

Lunął deszcz, zimny, jesienny deszcz.

Biedne wy pachnące kwiaty, biedne pulchne pola, biedne zielone drzewa!...

Pod zielonym listkiem koniczyny siedzi biały motyl. Słyszał potulną prośbę żywicieli kwiatów i pomruk despotycznego zimnego wiatru, słyszy nad głową szum smagającego ulewnego deszczu, i czuje, że mu codziennie zimniej, senniej, więc przymrużywszy czarne ślepki z rezygnacją szepcze:

— My słońca dzieci, a ono przestało już nas ogrzewać... więc...

Niedokończył, bo zimny wiatr znowu zahuczał:

— Umrzeć już wam czas!

— Tyran—hardo szepnęły trawki.

— Despota, zawtórowały strącone z drzew liście.

— Niecnota—widzisz jaki zimny,—mruknął niedbale chłop chuchając w zziębnięte ręce.

Nagle z pod gęstego mokrego mchu, tuż przy potężnym pniu starej sosny, wychylił ciekawie szarą główkę, świeżo narodzony grzyb.

— Nareszcie przestało świecić to przebrzydłe słońce—szepnął—teraz na mnie kolej.

I zaczął co raz bardziej, krzepciej rozsadzać mchową powłokę, z rozkoszą poddając głowę zimnym kroplom deszczu.

Młodzieńca zoczył wiatr, przytulił, owinął zimnemi płaszczami i mknąc dalej już czulej huczał.

— A witajcie przyjaciele! witajcie! wy mi jedni życzliiw.

Choroba Władka.

Choroba Władka.

Mój przyjaciel, poczciwy i wesoły Władek, od kilku miesięcy stał się małomownym, posępnym i zgryźliwym.

— Co się z tobą dzieje? pytam go przed pół rokiem.

Wykrzywił zbielałe usta.

— Chory jestem—rzekł smutnie.

Rzeczywiście wyglądał jak z krzyża zdjęty.

Wesołe niegdyś oczy, patrzyły teraz posępnie, niechętnie. Ciemną i ładną twarz pokryły liczne chorobliwe zmarszczki. Nawet muskularne, silne ręce podobne jeszcze teraz do bochenków chleba, wisiały, aby wisieć.

Obrzuciłem go raz i drugi litościwem spojrzeniem.

— Dla czego się nie leczysz?

Uśmiechnął się bardzo smutnie.

— Zapytaj raczej, u kogo jeszcze się nie leczyłem...

— No i cóż?

— Nic. Gorzej i gorzej. Już ledwo nogi ciągnę za sobą.

Serdecznie, od duszy żal mi się zrobiło tego do niedawna jeszcze bardzo zdrowego przyjaciela. Zacząłem go pocieszać, a w końcu radzić tego i tamtego znanego lekarza. — Byłem, byłem,—beznadziejnie powtarzał.

— Ostatecznie powiedz mi, jaką djagnozę ci postawili?

W jednej chwili, smutna i umęczona twarz Władka pokryła się ostrym, złośliwym wyrazem, a mętne źrenice zaogniły się jak u kota.

— Masz trochę czasu? spytał w końcu przez zaciśnięte zęby, gniotąc moją rękę, spoconą dłonią.

— Mam, mam, odrzekłem zdziwiony.

— To chodź, napijemy się mleka i opowiem ci dzieje mojej choroby.

W cukierni było pusto. Władek jednak pociągnął mnie w najciemniejszy kąt, i gdy podano nam po szklance mleka, zaczął opowiadać.

— W sierpniu zaczęła mnie trochę boleć głowa. Na razie sądziłem, że przejdzie, po tygodniu jednak ból się w zmógł, udałem się do jednego z lekarzy. Opukał, ostukał, i zapisał „pyramidoni".

— Za trzy dni przyjdź pan jeszcze raz,— rzekł z bardzo poważną i tajemniczą miną.

Byłem u niego jeszcze trzy razy. Na moje pytanie, z jakiej przyczyny cierpię, odrzekł wolno:

— Napewno nie wiem—lecz zdaje się nerwowe.

Tymczasem bierz pan te nowe proszki.

Po tygodniu głowa bolała jeszcze gorzej. Udałem się do specjalisty chorób nerwowych.

Doktór ten nawet nie zadał sobie trudu w celu zbadania mię.

— Nerwy, kochany panie, nerwy... Całe szczęście, że chorobę weźmiemy w zarodku... najgłówniejsza rzecz, nie myśleć o swojej chorobie.

— Jak nie myśleć, proszę doktora, kiedy boli i boli, starałem się tłomaczyć.

— Będziemy zdrowi, proszę tylko wypełniać moje wskazówki — mówił łaskawie się uśmiechając.

Uzbrojony w kilka recept i łokciowy przepis co do systemu kuracji, wracałem pełen otuchy do domu.

— I jakież leczenie przepisał—spytałem przyjaciela.

Skrzywił swoją bladą twarz, i niechętnie machnął ręką:

— Proszki i mikstury, ciepłe wanny, prysznice chłodniejsze, Szarko, obcieranie na noc, polewania z rana.

— I skończyło się na czem? przerwałem.

Uśmiechnął się chorobliwie. Łyknął z trudem trochę mleka.

— Po dwuch miesiącach tej prawdziwej inkwizycji, widząc, że całe leczenie nie tylko nie pomaga, ale jeszcze bardziej osłabia, udałem się do doktora chorób wewnętrznych. Opowiedziałem mu swoje dzieje... Łaskawie i uważnie wysłuchał, w końcu kazał się rozebrać do koszuli.

Po pietnastominutowym pukaniu, oglądaniu, zaglądaniu,—zadecydował tonem stanowczym.

— Nerwy zdrowe. Naprożno stracone te dwa miesiące na kurację... U pana jest najzwyklejsza anemia... Trzeba dobrze się odżywiać... długo spać, nie męczyć się... Zołądka na noc nie opychać... Krwi przybędzie, organizm się wzmocni, proszę tylko ściśle wypełniać moje wskazówki...

Popił mleka, drżącą przezroczystą dłonią oparł się i ciągnął dalej spokojnym osłabionym głosem:

— Przyjmowałem nowe proszki, lekarstwa. i słodkie i kwaśne, i gorzkie, spałem dwanaście godzin na dobę, chodziłem powoli, pracowałem bardzo mało, nie czytałem książek ani gazet, nie pisałem nawet listów do rodziny i znajomych. Musiałem wypoczywać. Tak kazano... głowa jednak bolała... Raz bolała bardzo, drugi raz bolała mniej—ale bolała. Kładę się spać, boli, budzę się w nocy—boli, z rana też boli... Klnę! złorzeczę!..

— Gadaj spokojniej, — przerwałem widząc, że zaczyna się unosić.

Zaraz uspokoił się, i zawstydzony obcierał zroszone gęstym potem czoło.

— Po sześciu tygodniach porzuciłem i tego doktora. Zacząłem chodzić po wszystkich, od najsławniejszych do najmniej znanych... głowa bolała... Zacząłem myśleć o śmierci.. Wylęgła mi się ta myśl jednej niespanej nocy...

Zaczęło mi się zdawać, że dobroczynna kula rewolwerowa, będzie jedyną ucieczką mojego przeklętego życia... Kilka razy z przyjemnością oglądałem mój maleńki oksydowany brauning i zacząłem się już godzić z tą koniecznością— gdy jednego dnia wstąpiła we mnie nowa nadzieja... Rzecz się miała tak:—dostałem list od starej ciotki, że mój kuzyn Stach, bardzo ciężko chorował na bole głowy i krzyża.

Leczyło go bardzo wielu lekarzy, aż dopiero ktoś poradził mu znakomitego profesora w stolicy, i ten go wyleczył; radzi mi więc ciotka pojechać do tej znakomitości...

Po tygodniu byłem z powrotem. „Znakomitość“ z całą stanowczością zadecydował, że moja choroba nazywa się „skleroza“ jakiegoś tam naczynka w mózgu. Leczenie: czterdzieści pięć szprycek „Natrum kakod:“ następnie dwie wanny ciepłe tygodniowo i, absolutny spokój „bo może być bardzo źle“...

Zabrałem się z nową wiarą do leczenia.

Po dwóch miesiącach nie było ani lepiej,

ani gorzej... Zacząłem ponownie myśleć o zbawiennej kuli z brauninga...

Z prawdziwą przyjemnością oglądałem wieczorami mojego oksydowanego przyjaciela, i odkładałem ostateczną chwilę z dnia na dzień .. aż któregoś dnia złapała mnie na tem pieszczeniu się; żona.

Płacz i lament żony, chlipanie po kątach dzieciaków, żałosne ich spójrzenia, czułe pocałanki i pieszczoty zatruwały mi do reszty duszę. Po kilku dniach wszystko weszło na ogólne tory, tylko kochana żona pilnowała mię teraz na każdym kroku i już sama zajęła się około mojej chorej osoby.

Sprowadziła konsyljum z najlepszych lekarzy, w kilka dni znowu z drugich lekarzy i wszystko napróżno...

— Ciekawe, bardzo ciekawe — szeptałem bezradnie i z głębokiem bolem serca.

Władek tymczasem obtarł gęste krople potu z czoła, dopił mleka, odetchnął głęboko i zaczął dalej opowiadać, swym zmęczonym głosom.

— Czekaj, jeszcze nie koniec. Miesiąc temu w początkach lutego spotkałem się na ulicy Wileńskiej z Witoldem... On chory i ja nie zdrowy. Słucham jego opowiadania i, o dziwo!... jego choroba—to moja choroba.

— Nareszcie—myślę sobie, sam trafiłem na przyczynę mojego bolu głowy. Chcąc jednak

jeszcze upewnić się lepiej, sypię do jednego z dobrych i znanych mi osobiście lekarzy i spowiadam mu się z mojego wynalazku.

Kiwał poczciwiec głową,—w końcu zapytał.

— Ale miałeś pan, coś—kiedyś?

Odpowiedziałem że nie; bo tak było rzeczywiście.

Zacząłem jednak tłomaczyć doktorowi, że przecież mogłem się zarazić od kogoś przypadkiem: przez pocałunek, brudną szklankę, nie zmienioną serwetkę w restauracji... Wszak bywa tak, prawda?

Patrzył mi w oczy, tak, jakby mi kazał sobie przywtórzyć,—więc machinalnie odrzekłem:

— Prawda, bywają wypadki.

— Otóż, zaczął chory z ulgą, i ten doktor przyznał mi w końcu racje, ale że sam na tej chorobie nie znał się, radził mi więc udać się do specjalisty. Wybrałem najlepszego...

Tu nadmieniam, że mój poczciwy i schorowany Władek ożywił się w tej chwili bardzo, na bladą i zmęczoną twarz wystąpiły jasne rumieńce, z oczu wiała nadzeja, blade usta pokryły się różem, a ręce niecierpliwie chwytały i stawiały szklankę pustą.

Po kilku minutach przywołał kelnera i kazał podać świeżego mleka, gdy popił, zaczął ciągnąć dalej.

— Specjalista... Daj mu Boże zdrowie...

obejrzał mnie bardzo, ale to bardzo starannie. Macał głowę, zaglądał przez jakieś szkła w oczy, badał sumiennie skórę na całym ciele, dusił migdały, trzy razy zaglądał w gardło, badał ślinę, pytał o ojca, o matkę i na jakie choroby chorowali, i w końcu, — wyobraź sobie radość moją, kiedy zadecydował:

— U pana jest zastarzały syfilis.

Wyobraź sobie, usłyszawszy taki wyrok, byłem tak szczęśliwy, że chciałem szanownego doktora pocałować w rękę.

— To będę zdrowym, panie doktorze? zapytałem myśląc o Witoldzie.

— Bezwątpienia. Trzeba było odrazu udać się do mnie, a byłbyś się pan tyle nie męczył.

— A długo przeciągnie się kuracja? pytałem dalej mego zbawcę.

— Po dziesięciu dniach, będzie znacznie lepiej. Ciężar z głowy zejdzie, zaczniesz pan dobrze spać.

Radość moja przechodziła granicę. To też oddałem mu ostatnie trzy ruble, wśród nizkich ukłonów i podziękowań.

— No i leczysz się teraz od syfilisu? zapytałem, widząc że twarz chorego przybrała znowu ten sam smutny wyraz.

— Tak, od sześciu tygodni,—odparł niezdecydowanie.

— I lepiej ci?

— Prawie że nic,—odparł już tym samym cichym, chorym głosem.—W początkach zacząłem lepiej spać, ale w ostatnich tygodniach znowu źle śpię...

Doktór pociesza i zwala na nerwy.

Pozatem merkurjusz popsuł mi żołądek... jestem znowu na dyjecie... słaby jestem, a głowa boli—boli...

Machnął ręką i głowę spuścił na piersi.

Patrzyłem na niego i przyznam się, wściekłość mię brała, na tą naszą bezradną medycynę i tych jej kapłanów faryzeuszowskich. Każdy z nich głowę hardo zadziera, a w rzeczywistości jest bezsilnym filistrem, i jeszcze nad wyraz lekkomyślnym w obec bogatych zagadek życia ludzkiego!..

Oto ten Władek, jeszcze przed pół rokiem, taki wesoły, zdrowy... dziś zchorzały, złamany. Chodzący trup... Przerzuca go jeden specjalista drugiemu, a który widzi w nim chorobę swojej specjalności... na tę chorobę go leczy — męczy ciało, wyciska kieszeń—i bez skutku dla zdrowia...

Mówią że jesteśmy u szczytu światła—a my jesteśmy u szczytów ciemności!

* * *

W kilka dni opuściłem miasto. Interesa powoływały mnie co raz to w inne miejsca.

W miesiąc potem, z Poznania, pisałem do

Władka, ale odpowiedzi nie otrzymałem żadnej. Byłem pewny że umarł, bo prawdę powiedzieć na takiego wyglądał... może i dla tego też, jego blada i wymęczona twarz prześladowała mnie bez przerwy.

Bardzo często miałem go przed oczyma, szczególniej wieczorami, w szarych kątach pokoju, wagonu, podczas snu, widmo serdecznego przyjaciela prześladowało mię bez ustanku.

Nareszcie coś we dwa miesiące dostałem od siostry list, w którym donosiła mi, że Władek jeszcze żyje. Wiadomość ta uspokoiła mnie trochę i widma przestały napastować moją wyobraźnię.

W końcu czerwca wpadłem na kilka dni do miasta, pierwsze moje kroki na drugi dzień były do mieszkania Władka. Po cztery schody pędzę na górę i zastaję dzwi zamknięte.

Uderzyło mię jakby młotem po głowie, zamarło mi serce, a nogi chwiać się poczęły.

Przywarłem drżącą ręką do dzwonka i szarpałem zawzięcie rączkę. Dzwonek huczał przeraźliwie, złowrogo jęczał, a drzwi się nie otwierały.

Spocony i zrozpaczony poszedłem do stróża.

— Gdzie państwo Władkowie? pytam ściśniętym gardłem.

Kudłaty litwin nie spieszył się z odpowiedzią.

— Pani z dziećmi—zaczął wolno śpiewającym głosem, na *daczy*, a pan *musi* na robocie.

Głęboko odetchnąłem.

— To pan zdrowy?

Stróż filozoficznie przekręcił głowę.

— Wiadomo co zdrów, jeszcze go tam trochę *środki* bolą od tych doktorskich leków, ale *mozgi* zupełnie zdrowe.

Z radości dałem stróżowi aż pół rubla.

— A kiedy pana w domu zastać można?

Stróż zadowolony z datku, utopił we mnie, niebieskie śmiejące się oczy i zapytał.

— Pan, *musi* brat?

— Nie, lecz dobry znajomy.

Pogadałem jeszcze trochę ze stróżem i upewniłem się, że zdrowiu mego przyjaciela nie grozi nic, obiecałem być o drugiej, to jest wtedy gdy Władek będzie w domu.

O drugiej nie miałem czasu, napisałem do Władka ażeby wieczorem był w teatrze, gdzie też w szóstym rzędzie spotkaliśmy się.

Powitania naszego nie staram się opisać, powiem tylko ze wstydem o łzach, a które ciekły z moich oczu ciurkiem.

Po przedstawieniu znaleźliśmy się na kolacji w knajpie.

— Gadaj że mi teraz o swojem zdrowiu, rzekłem z miejsca.

— Czekaj, niech podjem trochę.

— Pijemy koniak, czy mleko? zapytałem.

Uśmiech pogodny pokrył zadowoloną twarz Władka.

— Koniak... Mleka mam dosyć.

Wyglądał jeszcze blado, ale znać było, że jest zdrowym.

Oczy czarne, mazurskie, poczciwe, gorzały tym dawnym ogniem. Opalona ręka miała właściwy sobie życiowy ruch. Zajadał w tej chwili obficie i ze smakiem. Jego apetyt udzielił się mnie. To też wszystko piorunem zginęło z talerzy.

— Gadaj że teraz, bom okropnie ciekawy,— rzekłem widząc, że znajspokojniejszą miną bierze się do wykłuwania zębów.

— Przy czarnej kawie, rzucił niedbale.

— Z likierem?

— Dobrze.

Na moję szczęście podano kawę i zaraz zaczął opowiadać.

— Mój przymiot koteczku, był takim samym przymiotem, jak i wiele innych chorób wymyślowych przez uczonych doktorów.

— Tak, tak,—mówił dalej uśmiechając się ironicznie.—Ten specjalista od chorób wenerycznych, merkuriuszu wpakował we mnie, psiakrew z półtora funta, ze dwa garnce jodu, i rubli nabrał... Ten przeszedł wszystkich i nie-

chybnie byłby wpędził mnie do grobu... W porę uciekłem i to wypadkiem... Opatrzność czuwała nad mojemi dzieciakami, może pomogły ich modlitwy... gorące a serdeczne łzy... bo ja wiem... Oto widzisz, zaziębiłem się, rozbolało mnie bardzo gardło. Bez pytania mojego ostatniego opiekuna poszedłem znowu do specjalisty, laryngologa... Ten ci, poczciwa dusza, poobejrzeniu dokładnem przeprowadził ze mną następującą rozmowę.

— Często pan cierpi na gardło?

— Kilka razy do roku.

— Oddycha pan przeważnie ustami. Śpi pan z otwartemi ustami.

— Przynajmiej tak mi żona mówi.

— Nos zawsze zatkany?

— Katar od pięci lat nie opuszcza mnie.

— Cierpi pan na częste bole głowy?

— Panie doktorze, od siedmiu miesięcy, czterdziestu lekarzy nie mogą nic poradzić z temi bolami.

Zacząłem opowiadać smutną historję mojej choroby.

Słuchał bardzo uważnie, czasami ironicznie uśmiechał się, gdy skończyłem on wstał i zaczął coś przygotowywać, i na szklanym stoliku układać.

Zjawiły się kolejno jakieś sondy, pensety, szczypce proste, krzywe, wyłamane, wata, buteleczki...

Patrzyłem nie wiedząc co to wszystko znaczy. Doktór milcząc robił swoje. W końcu zaniepokoiłem się i zapytałem.

— Co doktór zamyśla robić ze mną?

— Wyleczę pana z bolu głowy,—rzekł spokojnie.

Nie ma głupich, myślę—a wstając, głośno powiedziałem, z drzeniem.

— Panie doktorze, ja tyle się wycierpiałem i ciągle cierpię... ziemia mię uleczy.

Zaczął mi wtedy tłómaczyć, przekładać...

Mówił do mnie jak ojciec do kochanego syna...

Przekładał, tłomaczył, tak że w końcu na operację zgodziłem się... i patrz jestem zdrowy już dwa miesiące.

Oniemiałem ze zdziwienia.

— Więc twoja choroba—co to było?

— Najzwyczajniejsze polipy w nosie. We dwie godziny po usunięciu ich, głowa przestała mnie boleć. Nabrałem apetytu, i jestem jak widzisz zdrowym.

— A cóżeś zrobił ze swoim rewolwerem? zapytałem przy pożegnaniu.

Poczciwe Władczysko uśmiechnął się tajemniczo, i nachylając usta do mego ucha, rzekł półgłosem.

— Posłałem go najlepszemu mojemu doktorowi, temu, który leczył mnie w imię Afrodyty.

Echa.

Echa.

Pan Witold od kilku lat jest emerytem. Trzydziestokilkoletnia służba w instytucjach rządowych, z daleka od rodzinnego kraju, nauczyła go, bałwochwalczego szacunku, dla wielmożnej władzy biurokratycznej i ślepego uniżenia dla udekorowanych piersi; dla podwładnych zaś napuszonej wyniosłości, panoszenia się i bezwzględnej surowości. Szkoła jaką przeszedł w tej maszynie biurokratycznej, zabiła czy przydusiła to, co było jasnem i czystem, zato zrobiła istotę bezmyślną, bezduszną, automat nie rozumiejący, że mogą być jakieś uczucia, wyższe cele i dążności, za które cierpi się, a nawet umiera z jasnym uśmiechem, na wykrzywionej bolami twarzy.

Po otrzymaniu dymisji, osiadł w mieście gdzie służył, po kilku jednak latach zatęsknił do miejsca, gdzie urodził się i spędził pierwsze lata młodości...

Powrót pana Witolda do gniazda rodzinnego nastąpił właśnie w czasie, kiedy zaciemniony horyzont pod naporem ożywczych wiatrów po-

czął się rozjaśniać, a naród do tych promieni tulił pieszczotliwie głowę.

Pan Witold, jako wyznawca i zwolennik starej szkoły, a przytem zagorzały czytelnik „Nowoje Wremja“ niemógł spokojnie patrzeć na wybryki ludzi „niedojrzałych“, więc zżymał się, krzywił swoją bezzębną brodę, chmurzył pargaminową twarz i gderał.

— Koniec świata... Poprzewracało się ludziom w głowie, mają przecież co jeść, gdzie spać, nago nie chodzą, i jeszcze im mało.

Zdawało mu się, że przekonania jego są nieomylne, bronił ich gorąco, nie ustępując ani na krok, tym co chcieli go przekonać.

— Dobrze i wam i mnie, tak jak jest.

— Ale miljony ciemne i głodne,—tłomaczono.

— Jeszcze nikt z braku światła i głodu nie umarł, odcinał się.

Aż pewnego poranka zbudził pana Witolda jakiś krzyk nieludzki, krzyk wychodzący, jakby z tysiąca wezbranych przerażeniem i żalem piersi. Zerwał się na równe nogi, przetarł zamglone oczy, wzuł wydeptane pantofle i pośpieszył do okna.

Na ulicy stał tłum ludu; wśród nich na podwyższeniu młodzieniec o jasnych długich włosach, bławatnych pięknych oczach, a żywo

chudemi i białemi palcami gestykulując, przemawiał coś do zebranych.

Pan Witold, ażeby usłyszeć co prawi jasno włosy, spiesznie otworzył okno, lecz w miejsce spodziewanej mowy, do uszu doleciało wychodzące z bocznej ulicy groźne, urywane warczenie bębnów, a po chwili znów taki sam rozdzierający, złowieszczy okrzyk zapełnił ostremi echami ulice i zaułki zagłuszając na chwilę złowróżbny warkot bębnów.

Jeszcze nie przebrzmiały echa okrzyku, gdy lud zakołysał się jak kłosy potrąconę raptownym wiatrem—i w szalonej bezwładnej panice, depcząc i popychając się począł w różne strony uciekać.

— Powarjowali, szepcze zdziwiony pan emeryt.

W tem oczy zamglone dostrzegły jakieś w dłuż za uciekającem ludem lecące jasne ogniki, po których zaraz dał się słyszeć huk wystrzałów. Zabrzęczały w otwartym oknie szyby, a dwie z brzękiem wyleciały obsypując odłamkami twarz pana Witolda.

Tu już poczciwego emeryta ogarnęła złość i przestrach, cofnął się zatym śpiesznie w głąb pokoju.

Na ulicy tymczasem wśród grochotu strzałów górowały przerażające krzyki uciekających, żałośne ranionych i rozdzierające jęki i

skargi umierających. A oddział wojska z podniesioną w górę głową, z palcami na kurkach wstępował na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał tłum spokojny i zasłuchany w mowę jasnowłosego młodzieńca.

Na zabłoconym bruku ulicy leżeli ranni, zabici i potratowani.

Wśród nich leżał i mówca. Kula karabinowa na wylot pierś młodą przebiła.

Bławatne jego oczy pokryła śmierć.

Przy głowie klęczała kobieta, a jasne włosy pieściła i oblewała serdecznemi matczynemi łzami.

Posiniałemi i wykrzywionemi z nadmiernego bolu ustami, szeptała.

— Synu jedyny. . . pociecho ty moja. . .

. . . . . .

Kilka dni po tym wypadku pan Witold nie mógł przyjść do siebie. Chodził, słuchał, rozmyślał, ważył coś w swej głowie, przestał czytać „Nowoje Wremia“ i długie narady odbywał ze starą. Mateuszową stale mu usługującą i ze stróżką, właścicielką pięciorga dzieci. Z narad tych baby wychodziły zawsze z czerwonemi oczyma od płaczu.

Na pana Witolda odwiedziny te, coś bardzo oddziaływały... Chmurnym się stał jak niebo jesienne, a w kościele bił się w piersi i

głowę tulił do zimnych marmurów żałośnie wzdychając.

Przyszła niedziela. Pan Witold wczesnym rankiem wybrał się do kościoła ś-go Jana, całą summę wysłuchał na klęczkach i po tej modlitwie wrócił do domu spokojnieszym. Zaraz za nim wsunęła się Mateuszowa z kilkoma kobietami. Ciche narady potakiwane chlipaniem babskiem trwały do szóstej godziny.

W poniedziałek pan Witold zerwał się z łóżka razem ze wschodem słońca. Był niezwykle ożywiony, co kilka minut patrzył na zegarek, uśmiechał się do własnych myśli, a gdy wybiła dziewiąta, śpiesznie włożył palto i prosto poszedł do księgarni. Po kilka godzinnem tam przebywaniu, wychodząc trzymał pod pachą wielki pakunek. Przechodząc około okna mieszkania stróża zastukał, a ukazującej się żonie stróża szepnął:

— Przyślijcie swoje dzieci.

Od tego dnia mieszkanie emeryta stało się gwarnem, wesołem. Świeżo porozwieszane podobizny: Mickiewicza, Kochanowskiego, Jadwigi, Sobieskiego poczciwemi oczyma patrzyły i zdaje się przyjmowały udział w szczęściu starego i w wesołym szczebiocie rozbawionej dziatwy.

Kaskady szczerego, dziecinnego śmiechu umilkały jednak w czasie, gdy odbywała się nauka. Cisza wtedy panowało wzorowa. Dzieciarnia

pomimo wychowania w wilgotnych ciemnych suterynach, i zimnych poddaszach była karna, słuchała uważnie, uczyła się z wielką pilnością, a dziadunio (gdyż tak kazał siebie nazywać) zadowolony gdy uczeń wydawał lekcję, i na pytania jasno odpowiadał, głaskał dziecię po płowej główce szepcząc:

— Twarde życie, lecz będzie ci lżej, jeżeli będziesz coś umieć.

Płynęły dnie, tygodnie, i miesiące. Stary każdego pierwszego chodził do księgarni, skupował: gramatyki, podręczniki, wypisy, elementarze, kajety.

Oddał się całą duszą tym swoim malutkim uczniom, uczył ich historji kraju rodzinnego, opowiadał życiorysy i dzieje bohaterów ojczystych, ich poświęcenie dla świętej sprawy ojczystej; ich dole i niedole podczas wojen przy obronie granic kraju, lub śmierć bohaterską i pełną chwały na polu bitwy.

Dzieci z rozwartemi usteczkami i rozszerzonemi oczętami chciwie słuchały. I płynęło swiatło do tych duszyczek młodocianych, płynęło i ożywiało, jak ożywcze krople rosy spragnioną i wysuszoną ziemię.

A tymczasem szalona burza trzęsła kolumnami zimnych granitów, naród długo uśpiony budził się, chwytał za zardrzewiałe kajdany rwał i szarpał, a gdy ogniwa zaczeły pękać,...

warczały bębny, tysiące błyszczących ogników leciało z karabinów, i krew rosiła ulice miast, podwórza fabryk, lub zielenią błyszczące niwy.

A dziadunio uczył swoich pupilów i siebie.

Wychowany w obcych szkołach, nasiąknięty cudzemi i spaczonemi przekonaniami, oddanym był całą duszą tym co mu tą dusze spaczyli. Dopiero ostatnie wypadki, niewinnie przelana braterska krew otworzyła mu oczy. Po długiem rozmyślaniu postanowił wziąć się do pracy i chociaż czemś dopomódz, wynagrodzić sprawie rodzinnej za długotrwały letarg.

Dziś pracą swą mógł się pochlubić, pomimo że praca ta trwała dopiero kilka miesięcy.

Najgorszą biedę miał z sobą samym, gdyż rozumiał, że ucząc kogoś trzeba umieć samemu, a tu nawet historji swego narodu nie znał, więc gryzł się, wymawiał sobie, że całe życie był próżniakiem, nie dobrym synem tej biednej matki, której bolesne rany widział dopiero dziś. Więc wieczorami, gdy cisza zaległa mieszkanie, sięgał do szafy, wyjmował książkę i pozno w noc czytywał. Czytał chciwie z uwagą, a nieraz łza stare oko zwilżyła, i spadła na kartki książki jakby na znak,—że miłość dla ojczyzny nigdy nie wygasa, że trzeba tylko jednej szlachetnej iskierki aby ją rozrżarzyć, a wybuchnie całym snopem płomieni, którego później całe siły nie zgaszą. Dziś w sercu starego emeryta te

płomienie rozgorzały, czuł to, więc pracował usilnie, i chociaż wieczorami zegar dawno wybił godzinę drugą po północy, stary siedział, czytał, robił notatki, aby tylko na jutro przygotować opowiadanie dla dzieci.

Tak upłynęły dwa lata.

W mieszkaniu „dziadunia“ lekcje ukończyły się o zwykłej godzinie, po półgodzinnym odpoczynku i po spożyciu szklanki mleka i bółki, (dziadunio codziennie ugaszczał tak swoich pupilów) zadowolona dziatwa składała książki, gdy wtem otworzyły się szeroko drzwi i w nich ukazała się z buńczucznie zadartą głową postać policjanta w asystencyi kilku pomocników.

— U was tutaj szkoła? zapytał, krzywiąc usta dla wywołania ironicznego uśmiechu.

— Nie szkoła, lecz uczę dzieci czytać i pisać, odrzekł spokojnie pan Witold.

— A wiesz pan, że szkoły bez pozwolenia «trzymać» nie wolno!

— Powtarzam, że nie mam żadnej szkoły, rzekł już rozgniewany.

— Wszystko jedno, w sądzie będziecie się tłomaczyć, a teraz mam rozkaz aresztować.

. . . . . .

W kilka miesięcy odbyła się sprawa, stary został skazany. Słuchając wyroku stał z podniesioną głową... nie rzekł słowa... dopiero, kiedy znalazł się sam na sam z wiszącemi na ścianach podobiznami, ręce złożył jak do modlitwy i patrząc w ich poczciwe oczy, szeptał:

— Mam do was miłość w piersiach, i tej miłości nikt mi nie zdoła wyrwać.

W kilka tygodni przeniósł się na nowe mieszkanie, podobizny porozwieszał, a nawet ubrał je we wianki z liści, otoczył się znowu dziatwą i pracę przerwaną rozpoczął... Dzieci jeszcze bardziej pieścił, darzył cukierkami, książkami, całował i do młodocianych a chciwych uszu szeptał coś i szeptał...

Szarzyny Wilna. Wł. Gutowski.

Ławce.

Towarzystwo Wzajemnej Adoracyj.

Latawce.

— Otóż trzeba, aby cały zespół sił pracujących piórem jak najszersze obejmował horyzonty, aby to słowo leciało od wszystkich i do wszystkich, zamykanie się zaś w ciasne kółka, kółeczka, jest poprostu, no głupie... Dwadzieścia razy chwytam za tą piękną książkę i tyleż razy rzucam ją z goryczą.

— To jednak przyznajesz mistrzu, że jest piękna!

— Cóż z tego że szata ładna, że nawet utwory niektóre są dobre, że zdolny malarz zrucił kilka symbolicznych rysunków bardzo dobrych. Lecz zato reszta—plewy, plewy...

Wstał przeszedł się kilka razy nerwowo popokoju.

— Wzajemna adoracya. Ten poświęca tej, a ta temu, siesie a siesie, a jeszcze trzeci symbolista pretensjonalny, wyślęczył „pogrzeb duszy“ z kilkuset krzyżykami i kilkudziesięcioma literami, a skrywszy się za one zagadkowe krzyżyki, woła na szukającego drogi czytelnika kuku, kuku!

— To poeta nie dla tłumu, ale dla wybranych.

Rozumna twarz myśliciela okryła się szkarłatem.

— Kpisz czy nie kpisz? spytał nerwowo.

— Mówię tak, jak rozumiem tego autora.

— To źle rozumiesz... Tam jest paradjerka.

— Aha!... To tak coś, jak w tej książcę o rycerzu wojującym z wiatrakami.

Mistrz wystawił wskazujący palec.

— O! Tak! tak! Ten rycerz walczył z wiatrakami a oni z rymami.

— Po pijanemu...

— A może... bo wszak przy zdrowych zmysłach, wymyślać Bogu, hulać w rozpasanych „bachanaljach“ zadzierać nogi, szczeryć zęby, bryzgać pianą... i to dla kobiety?...

— Wybujała fantazja nie znosi okowów... W dzisiejszych czasach kobiecie, jeżeli posiada talent, wolno pisać jak i mężczyznie.

— Człowieku! człowieku zrozum... talent, zawsze będzie talentem, a podszywanie się za pomocą pisania bzdurstw:

— Marnością!

Myśliciel rozkrzyżował ręce.

— Talent jest darem potężnej natury, jest to słońce dla oświecenia bogatych marmurów, czarnej życiodajnej ziemi, lotnych piachów i bagnisk cuchnących... A w tej książce, same

naśladownictwa, porywy bez skrzydeł, w mozole wyciśnięte słowa, wypocone w nocach bezsennych rymy... Fantazja bez fantazji... No głupstewka jakichś przygodnych autorów... Naprzykład ten który zjadł tygrysa, i poszedł z nim na kolację do knajpy, tam opił się wódki i gdy wrócił do domu pijany jak bela, to został zjedzony przez tegoż tygrysa, którego sam zjadł po trzeźwemu... Drugiego zaś dnia (prawdopodobnie znów po pijanemu) dostał się między dwa kije, które mu tak obiły plecy, że, ażeby się wygoić, zawiązuje serdeczną przyjaźń ze świnią...

— Mistrzu! przebacz już tym którzy nie wiedzieli, co czynią... Sądźmy ich wedle chęci, a że mieli dobre, więc darujmy im ubóstwo myśli i nieudolność twórczą...

— Kto słońcu spojrzeć chce w twarz, ten loty winien posiadać silne.

— To też są między niemi i silni... Czyż odmówisz, mistrzu, piękności świetnym bajkom: „gęś“ a „zbuntowane pieluchy?“

— Tak, to są okrasy — okrasy, ale na nieszczęście już tyle razy odgrzewane, że mnie samemu żal autora, któremu zabrakło coś świeżego stworzyć, i książki w której, koniecznością było pomieszczać rzeczy tylko nowę... Tak, tak, bajdy są dobre, ale stęchlizną je czuć... Zapach odgrzewanych pieluch przyprawia o mdłości...

— Ostatecznie wytłomacz mi mistzu, w jakiem celu rzucili na światło podobną zbieraninę?

Twarz mistrza wypogodziła się, za to oczy patrzyły szyderczo.

— Przytępiona zarozumiałoćć... Dzieciniada. Pogoń przez biczyki z piasku—do sławy... One (autorki) tworzą na pamiątkę mężczyznom, mężczyzni (autorzy) pięknym koleżankom, przy pilnym ma się rozumieć zapisywaniu dat, w których co powstało!... A jeszcze inny lunatyk—autor, chciałsię poszczycić nowymi wyrazami i powykoszlawiał piękne polskie słowa: „albo“ wychodzi na „le“ „język“ na „jęz“... a nawet wystąpił za zdaniem jakoby własnem: „a ja wam powiadam, nadzieja głupich matką“.

I stała się matką głupich.

Czy zbrodniarz?

Czy zbrodniarz.

— To przyszło samo z siebie—rzekł obojętnie.

Julek spojrzał mu w oczy badawczo a nawet brutalnie, tak jak gdyby posiadał prawo badania.

— Samo przyszło, a jak?—rzucił po chwili, i zaczął jeszcze ciekawiej, natrętniej wiercić oczyma siedzącą postać przyjaciela—zbrodniarza.

— Wszak przyznasz pan, że u żyjących stworzeń, z prawa natury, istnieje samoobrona... My zaś ludzie, bardziej tej samoobrony przestrzegać musimy... Na miłość do życia—u ludzi, złożyły się wieki pracy, wieki postępowej kultury... więc życie trzeba cenić — dla samego siebie... Biją ciebie, bij i ty! Nie daj się!... To zwykła logika życia... a ja byłem w tem położeniu—nie daj się!...

Mówił głosem zupełnie naturalnym, bez najmiejszego odcienia żalu lub skruchy, widocznem było, że nawet nie starał się, ażeby słowom jego wierzono. Prawdopodobnie otrzaskał się już podczas śledztwa, w toku zawiłych i mę-

czących dopytywań, a widząc, że jego słowa i logiczny system nie przekonywają sędziów, i wina pozostanie winą, stał się apatycznym i wyczekującym.

— No, dobrze Stachu, lecz w tym nieszczęściu stroną zaczepną byłeś ty!

Nastąpiło długie i ciężkie milczenie, podczas którego Stach—zbrodniarz gniótł nerwowo wychudzonemi palcami, szczupłe, podobne do szkieletów kolana. Po kilku jednak chwilach w posępnym mroku wilgotnej celi, zaświecił jasnym zygzakiem czarnych oczu i rzucił pytanie:

— Julek! czy ty wiesz, co to jest, głód, głód...

Julek drgnął. Wyraz «głód» targnął jego ciałem, Zdawało mu się że go rzuciło coś w lewo, w prawo, a potem lunęło kłonicą w czaszkę... zaraz w głowie powstał świst i szum, jakby przelewanie ogromnej wody, albo przeraźliwe gwizdanie bajecznej ilości w jednem miejscu zgromadzonych lokomotyw...

Przy pomocy silnego tarcia czoła palcami, opanował wzroszenie i tonem ile mógł obojętnym odparł:

— Wiem, że to rzecz... podobno... bardzo boląca.

— Boląca, boląca... — niby przedrzeźniając, śmiał się zbrodniarz.

Zapanowało znowu przykre milczenie. Julek jakoś nie mógł przyjść do słowa, a Stach—zbrodniarz oczy piękne, czarne utkwił w jakiś niewidoczny punkt, wysokie czoło zmarszczył i siedział za pozór spokojnie. Naraz Julkowi zrobiło się ogromnie żal przyjaciela... Wszakże to ten sam Stach;—na jednym śiwku jeździeli, na jednej ławce w szkołach siedzieli, ba, nawet bywało, że i na jednem łóżku spali, a dziś—?

— Ba, ba, głód... — zaczął wolno Stach.— Mocne są jego uściski, straszne żelazne kleszcze któremi targa uparcie a boleśnie puste wnętrzności swoich ulubieńców...

Umilkł, nerwowo splótł dłonie po nad głową, wstrząsnął nią, jakby chciał jakiś ciężar z niej zrzucić.

— Głód—zaczął z nowu głosem stłumionym, to siła, potężna siła... To władza nad władze, to rozkaz do wywłaszczenia bliźnich pomimo własnej woli... pomimo woli,—dokończył namiętnie.

— Czyż i ty podlegałeś — wtedy—tej sile?

— Ależ tak, tak.

— W każdym razie jesteśmy ludźmi,—rzucił posępnie Julek.

— A, więc ty tak myślisz—ludźmi, ludźmi— Nam się tylko tak zdaje—że ludzmi, odpowiedział, wodząc z pewną pogardą błyszczącemi oczyma po przyjacielu.

Na Julka uderzyły ognie.

— Ludźmi jesteśmy—zaczął Juljan twardo—, Człowiek w celu nasycenia siebie, idzie zabijać drugich, ohydnie mordować—jakież to okropne!— Człowiek z taką kulturą jak ty Stachu... Pomyśl i przyznaj, że świat karząc ciebie, robi to co musi... Bo jeżeli my kulturalni nie uszanujemy cudzej własności, cudzego życia... cudzego...

— Powoli — przerwał Stach, drogi przyjacielu, powoli... Ja gdy szedłem zabijać, czyli jak się wyrażasz odbierać cudze życie, byłem zupełnie spokojny, jak właściwy kulturalny człowiek... A całą tą filozofię o cudzym mieniu, o życiu bliźniego...

Tu uśmiechnął się smutnie—białą wychudzoną dłonią ruchem nerwowym podczesał czuprynę i dobrym wzrokiem spojrzał Julkowi w oczy.

— Otóż wiedz... trzy dni... zrana brzuch pusty, wieczorem pusty.

— Jak to!—porwał się Julek, masz rodzinę, znajomych...

— I głupią polską ambicję. Ale nie przerywaj... Wyniosłem już wszystko, ostała mi się jedna brudna koszula .. Wiatr wyje, śnieg biały piękny sypie, letni paltocik na chudych plecach, na chodnikach zimne błoto... a z moich kamaszy ciekawie wyłazi goła podeszwa... Ja jeszcze z najspokojniejszą spokojnością piszę do gazety

«Filozofie życia» artykuł filozoficzny, o cudzym mieniu, cudzym bochenku i pustym brzuchu!..

Redaktor artykuł przyjął, a ja głodny i trzęsący się z zimna, podziwiałem piękne szynki w sklepach rzeźniczych, i stosy bółek w piekarniach.

Znowu uśmiechnął się smutnie.

— Ale cóż, — zaczął dalej, w pierwszym dniu głodu ta złuda wystarczyła, oszukałem natrętny brzuch.. w drugim szelma głód stał się upartym... Rozmaitemi sposobami zwalczałem go, i zawsze wyłaził po chwili na wierzch... W końcu zaczął mi okropnie boleśnie gnieść pusty żołądek, łamać rękę i nogi... Taranem bił po plecach, obcęgami wyrywał po kawałku kiszki, wysadzał oczy, świdrami kręcił w sustawach, i doprowadził w końcu do tego, że djabli poczęli brać tą całą filozofię—o tym cudzym bochenku chleba...

Ale jeszcze trzymałem się.—Niech sobie jedzą, ci, co na ten bochenek mają — szeptałem wysuszonym gorączką głodową językiem.

— A, więc tak,—szepnął Julek wysuwając dolną wargę.

— Nie przerywaj pan—rzekł szorstko. Otóż trzeciego dnia wieczorem, już było po zachodzie słońca, mój przyjaciel—despota głód wyniósł się odemnie... Tak... tak, porzucił całe moje ciało, nie uczuwałem go, ani w nogach, ani w

stawach, nigdzie... Wyobraź sobie, nawet ręce mi nie drżały, stały się nawet jakieś lekkie, swobodne—tylko mi się palce, jak u drapieżnego ptaka zakrzywiły i darły do krwi przy zaciskaniu własne dłonie.

W tej chwili podniósł swą kędzierzawą, kształtną głowę i mocno uderzył Julka oczyma.

— A potem—nic, właściwie zaraz, ten ból, ale już złączony wszystek w jedną wielką gromadę, taki mocny, niewytrzymały, okropnie bolący—wtłoczył mi się, jak tępy klin w głowę...

Odetchnął ciężko i bolącym szeptem powtórzył:

— W głowę—

— Współczuję z tobą,—rzekł Julek smutnie.

— Nie trzeba, — rzekł niedbale a mocno. W głowę uderzył mię! O tu!... w to ciemię, jak pijany chłop obuchem... Nie, nie, mocniej, jak piorunem, bom upadł... Po kilku chwilach gdy otworzyłem oczy, spostrzegłem krew, płynęła z otwartej rany na głowie... A później ten sam ból pod czaszkę znowu wpełzł... i wiłem się jak robak, kiedy nadzieje go w pół ciała swawolny chłopak tępym patykiem...

Głodowy ból wzmagał się z każdą chwilą i moja zawiętość uczciwości wzrastała...

— Jeszcze jeden czy trzy podobne ataki, i pal djabli, — życie, myślałem zaciskając zęby, aby głośno nie krzyczeć.

Chwilami ból się uspakajał, ale dla tego tylko ażeby wrócić silniejszym .. I wracał i bił już wtył głowy, to znowu między oczy i z taką przeklętą wyrafinowaną rozpustą, i tak mocno, ba! krzepko—że te oto palce haczykowato wykrzywiały się, i darły długie drzazgi brudniej podłogi.

Tu raptownie wstrzymał opowiadanie, podniósł w górę wskazujący palec prawej ręki i dotykając nim czubka własnej głowy, zaczął z lodowatym uśmiechem.

— Patrz pan, w tym oto miejscu, pod tym kawałkiem kości... O, tu, tutaj, strzeliła myśl—ratować siebie... Atak był okropny... Świat sciemniał... tak bolało, że już zębami darłem podłogę... i wtedy;—Nie daj się! szepnął tajemniczy głos... I w tej chwili zachciało mi się jeść... uczułem właściwy głód...

— Nażrej się! nażrej się! naraz krzyknęły wszytkie kąty... I ostatecznie musiałem się najeść, aby pozbyć się okropnego bolu... Wyszedłem... Dureń ten Wacek... Był wtedy sytym więc szczęśliwym. Śmiał mi się w oczy, szydził i niechciał wierzyć mojemu głodowi...

— Daj pięć, rubli—prosiłem. Jutro przyjdź, dziś nie mam,—śmiał się. Wstałem ażeby pożegnać go, podałem mu rękę... a potem zaraz chwyciłem za gardło... za ciepłe pulsujące gardło.

— I wtedy to, zadusiłeś pan? szepnął Julek drżąc na całym ciele.

— No tak,—odparł posępnie.

— Zgłodniałe palce same lazły i lazły w wypasione i ciepłe gardło towarzysza lat młodocianych. Pchały się jak w ciasto, albo w glinę... Parę razy zacharczał... nogami kopnął przed siebie... później rękami zaczął bić po własnych bokach, jak gdyby coś strzepywał... ale i to prędko ustało.

— To okropne—okropne! Przestań już opowiadać, nerwowo szeptał Julek, chodząc tam i napowrót po ciasnej celi i ścierając krople potu na czole.

— Okropne, okropne,—zaczął zbrodniarz, jak gdyby do siebie. Okropne były jego oczy... jakieś pytająco—przerażone, wybałuszone... Wielkie jak dwie dojrzałe śliwy... żółto-mętne... i patrzyły... uparcie szukały oczu moich... a nawet... no...

Tu skurczył się w sobie, głowę wtłoczył w szerokie kościste barki i przygnębionym szeptem kończył:

— Nawet... czy uwierzysz pan?... te głupie mętne oczy... czasami spać mi nie dają... mnie... człowiekowi—wyższej kultury...

Złudy.

Pani Teofili M.

Połąga.

Złudy.

Pan Ładysław otworzył oczy, przeciągnął się raz i drugi, ziewnął leniwie, a potem uniósł się na łokciu, i spojrzał na białe czoło stojącego zegara.

— Oho, ósma,—za długo spałem,—wycedził przez zęby.

Pan Ładysław był to sobie mężczyzna wysokiego wzrostu, lat średnich, brunet, i przystojny—pozatem najzwyczajniejszy w świecie śmiertelnik, którego bałwany życia unosiły po rozmaitych wertepach, lepszych i gorszych dziurach wrażeń użycia codziennego, gdzie strzelały korki szampana, a ciepłe, roskoszne, przytulne ramiona przemijających syren kazały zapominać, co będzie—w przyszłości?

I tak doczekał się trzydziestu pięciu lat.

W tym to pamiętnym roku, poczuł pierwsze strzykanie w lewem kolanie, a drugiego dnia w dolnej sześci krzyża. Pozatem w czarnych włosach zobaczył, gdzie nie gdzie trochę siwizny—a po dłuższem jeszcze rozpatrywaniu swojej

własnej osoby przekonał się, że i z zębami krucho: dziewięć zaplombowanych, dwanaście wyrwanych, kilka zaczynających się psuć, a całych coś tylko—o bogowie!—pięć...

— Źle, myślał—, trzeba swoje siły jeszcze dokładniej obliczyć.

A po godzinnem sumiennym obrachunku zobaczył, że i z finansami krucho.

— Ano, kiedy źle, to źle—myślał dalej—w każdym razie w moich latach ludzie zaczynają się żenić, to znaczy, że zaczynają żyć! Ja zaś żenić się nie mam absolutnie żadnego zamiaru... Zato mam zamiar—ba, nawet wielką chęć dalej żyć... A zatem—kto chce żyć, a goliznę w kieszeni czuje, musi wynająć się do pracy. Jest to tak logiczne, jak w artmetyce dwa razy dwa—cztery.

Postanowił—a że był człowiekiem twardego charakteru, więc zrobił.

We dwa miesiące, liczni znajomi wiedzieli pana Ładysława już zajętego pracą.

Po trzech zaś latach wiedzieli wszyscy, że jest to człowiek bardzo pracowity i na swojem miejscu.

Otóż i dziś wrócił do domu spracowany jak wół kiedy go z jarzma wyprowadzą.

Wypił kieliszek wódki i zakąsił, wypił drugi i znów zakąsił—następnie z wielkim apetytem

zjadł smaczny obiad i położył się na poobiednią drzemkę.

Drzemka trwała za długo, więc pan Ładysław wpadł w pasję.

— Bodaj-to djabli z tem poobiedniem spaniem—mruczał paląc zawzięcie papierosa.

Przespałem dwie godziny, i w dodatku na bal opóźnię się jeszcze. A przecież,—tu uśmiechnął się z zadowoleniem, — ma przyjść... niema—ale napewno przyjdzie „ona".

Wspomienie o „niej" zatarło chwilowy zły humor.

— Frak, czy tużurek — myślał zapinając powolnym ruchem biały krawat. E. wezmę tużurek—wszak tańczyć nie będę.

Jednak ta kobieta zaczyna włazić w moję życie za uporczywie. Zaczyna mi przeszkadzać... a nie lubię tkliwości, z której człowiek w moich latach, przechodzi podobno do gorącej miłości. — Uśmiechnął się ironicznie. Spojrzał na zegar:

— Dziewiąta—mruknął,—jeszcze za wcześnie, a przychodzić pierwszemu,—jakoś nie wypada.

Pomyślał chwilę, i zaraz przycisnął guzik dzwonka.

We drzwiach ukazała się młoda służąca.

— Moja Zosieczko—czy masz samowar gorący?

— Jest proszę pana!

— To przyszykuj do herbaty.

W kilka minut, pan Ładysław siedział na wygodnej kanapce popijając herbatę z koniakiem, a to w celu nabrania lepszego animuszu przy rozmowie z panią Tolą.

— Tola,—myślał zaciągając się papierosem—Tola, ładne, łaskotliwie przyjemne imie. Trzeba jednak przyznać, że i właścicielka jest istotą dosyć sympatyczną, i wcale ładną. Chociaż co prawda, to trochę—no troszeczkę—za rozrośnięta. Lecz na bal obciśnie się prawdopodobnie w gorset... Ale zato ząbki posiada białe, nosek dosyć foremny—włosy jasne — a ramiona i szyjka... ba, mecyje!...

Ostatnie myśli zelektryzowały ciało pana Ładysława. Uczuł rozkoszny dreszcz przebiegający w dłuż krzyża, pod działaniem którego przymknął oczy:

I zaraz zobaczył piasczysty, olśniewającej białości brzeg morski. Szuwary i trzciny morskie szeleszczą przyjemnym gwarem... Wysokie pagórki usypane jesienną falą morską, poprzężynane szerokimi wąwozami. Tuż zaraz lasek sosnowy, tak sympatyczny, i przyjemny, i przytulny i ciepły, jak ramiona i szyja pani Toli...

— Wiele to razy—myślał dalej, gładząc wąsa—morze szumi a szumi—ba, czasami kiedy rozgniewane, to ryczy jak sto djabłów, waląc grzywiastymi bałwanami o jasno złoty spokojny

brzeg: a oni siedzą osłonięci od uderzeń wiatru wysokiem pagórkiem, jak parasolem... On trzyma głowę na jej kolanach i patrzy—patrzy na ciekawie wychylającą się szyjkę z pod rzadkiej tkaniny koronek, na jasne włosy rzucane złośliwym powiewem przekradającego się wiatru, to na rozmarzone, rozkosznie przymknięte oczy... Kiedy morze zahuczy głośniej, a szalony bałwan wśród okropnego huku i ryku rozbija swoją pierś, wtedy ona zaczyna się rozkosznie trwożyć, otwiera szeroko bławatne oczy i patrzy niemi w twarz Ładysława.

On zaś obejmuje jej śnieżną szyję i w długim pocałunku... takim rozkosznym, okropnie lubieżnym toną na kilka chwil ..

Sympatyczne ciepło, zaczęło coraz natarczyniej ogarniać zmysły, wolę, i ciało pana Ładysława... Zmysłowe ciągoty targnęły ciałem w rozkoszne i przyjemne uczucie..

* * *

— Ten obrzydliwy walc rozstraja nerwy, psuje całą piękną harmonię sam na sam, w tym rozkosznym niebieskim gabinecie,—myśli pan Ładysław w głębokiej głębi swego mózgu, siedząc obok pani Toli.

Palnik elektrycznej lampy osłoniony szczelnie abażurem koloru niebieskiego, jak raz

przystraja się do takiegoż koloru fantazyjnie rozrzuconych mebli.

Przy kanapce tuż, stoi ładny i gustowny stoliczek, na nim lśni śnieżystej białości olbrzynia korona wspaniałej kamelji, obok dwa skromne badylowate a odurzające zapachem—krzewy tuberozy, i biedny sam jeden z pochylonym ku dołowi kielichem, smutny tulipan.

Panu Ładysławowi wielki żal biednego tulipana.

— Prawda, jaki on biedny,—mówi do pani Toli, wskazując oczyma samotny kwiat.

Pani Tola rozmarzonemi oczyma patrzy w stronę kwiatu i smętnie odpowiada.

— Byłby biednym, gdyby był sam, ale proszę patrzeć; posiada przy swym boku tak piękną towarzyszkę—kamelję.

Nastało krótkie milczenie, a ciepła aksamitna rączuchna znalazła się w szerokiej dłoni męzkiej, a po chwili i u spragnionych warg.

Zalotnie śmieje się pani Tola.

— Proszę pamiętać, że mąż tuż,—tuż —a nuż nadejdzie?

W przyćmionym gabineciku atmosfera zaczyna być duszną.

— Pani Tolo! proszę nie kryć swojej łapki..·

Nareszcie znów ją ma. Pieści jak dawno niewidziane szczęście.

W tem ciemna sylwetka zamajaczyła we drzwiach.

Wchodzi maska.

Tuż, jak ironja losu—jak złe—płyną z tanecznej sali podłe, nizkie — nerwowe tony obrzydliwego walca.

A masek śmiech — sarkastyczny — niby wesoły—a głupi i bezcelowy.

Maski—maski—coraz więcej masek.

Cały gabinet, w bufecie, w korytarzach, wszędzie.

Maski—maski—i maski.

— Co za dziwny wieczór — co za bajeczny nastrój... A my z tym tajemniczym, cichym flirtem,—mówi pani Tola ze swojem rozkosznem niewymawianiem r.

— Tam ciągły ten walc—ciągnie dalej,—a wokoło, maski, maski... Prawda, że to oryginalne!

— Pani, wyjdźmy ztąd,—szepcze pieszczotliwie a namiętnie pan Ładysław. Te maski—ten kupiec z rożową twarzą, rubasznie śmiejący się do swej maski, i ten przebrzydły walc, denerwują mnie do najwyższego stopnia.

Pani Tola podnosi paluszek do noska i tajemniczo mówi.

— Ani kroku... tak... mąż tam stoi... i spłoszy ten złoty sen, tą baśń tęczową.—A szkoda—szkoda! Życie tak krótkie—jak sen...

Już teraz ona szuka jego ręki.

— Cy pan wierzy w miłość?—czepcze gorąco—ale taką czystą, taką bratnią!

Namiętnie tuli się do męzkiego ramienia.

Ciężka kotara znowu drgnęła — idą nowe, świeże, głośno śmiejące się maski.

Kwiat tuberozy, zabójcza woń.
Upaja zmysły i mąci wolę.

Pół szeptem deklamuje pan Ładysław.

— A o biednej kamelji zapomiał pan?

Niedobry z pana człowiek...

— Czy pani uwierzy—rzekł chłodno, że ta imponująco piekna kamelja, znajduje się dziś nie na swojem miejscu!

— A to dla czego?

Oczyma niebieskiemi rozkochanemi, patrzyła głęboko w serce.

— Bo za dużo osób — za gwarno tutaj—za szumno—za duszno—za wesoło.

— A pan chciałby być z tym kwiatem, i może jeszcze z kimś... gdzieś—gdzieby ludzkie oko nie patrzyło? I nie zazdrościło gorących uścisków i namiętnych pocałunków.

I grożąc różowym paluszkiem kończyła.

— Grzesznik wybredny z pana...

Ruchem prędkim wstała, a podając na pożegnanie rączkę szepnęła.

— Żegnam, do niedzieli.

Pan Ładysław zerwał się na równe nogi.

— A, a,—jęknął chwytając się za czuprynę, bodaj mię piorun trzasł!... tom się spisał...

Chwycił za zegarek.

— Pierwsza godzina, późno, bardzo późno, szeptał przecierając zaspane oczy.

Po chwili jednak zastanowił się głębiej i rzekł z determinacją.

— Pójdę, a może ją jeszcze zastanę na balu.

W kilka minut był już na ulicy, a siadając do sanek, rzekł do woźnicy.

— Dostaniesz rubla, ale jedź co koń wyskoczy.

Listy z Mińska.

Listy z Mińska.

I.

Mińsk litewski na pierwszy rzut oka robi wrażenie sympatyczne i kulturalne. Środek miasta, z ulicami Gubernatorską, Zacharzewską, przedstawia się dość pokaźnie, ulice tutaj są szerokie, widne, o wygodnych chodnikach asfaltowych. Domy, stawiane równym rzędem, posiadają sklepy z dużemi wystawami, oświetleniem elektrycznem, jasne i obszerne. Nad sklepami widnieją wielkie znaki, objaśniające przechodnia o zawartości danego handlu, szkoda tylko, że wyłącznie niemal w języku rosyjskim, lecz wina to miejscowych kupców żydów, nie przyznających prawa obywatelstwa językowi naszemu.

Znaków w dwóch językach jest zaledwie kilka i to bodaj wyłącznie na sklepach, należących do polaków. Wogóle w Mińsku przemysł i handel znajdują się w ręku żydowskiem, sklepów chrześcijańskich prawie niema, i z przyczyny braku konkurencji drożyzna wielka, a arogancja panów kupców może iść na równi

z bezczelnością „Mińsk. Słowa“, organu tutejszej „czarnosocińskiej“ partji.

Redaktor tego pisma szczególną sympatją otoczył nas, polaków, i żałować tylko wypada, że jego sławetny organ czytuje tak mała garstka „dobrych patryotów“, w przeciwnym bowiem razie sława o polakach szeroko rozeszłaby się po świecie i niejeden flegmatyczny syn Albjonu, po przeczytaniu artykuliku w tem piśmie zostałby zdumiony i zbudowany patryotyzmem polaków mińskich.

Tymczasem ten głośny patryotyzm widzimy tylko na szpaltach „Mińskiego Słowa“, jako też i tę «groźną chmurę nad pogodnem niebem Rosji», bo polacy tutaj bardziej, aniżeli w innych dzielnicach dawnej Rzeczypospolitej, na sprawę narodową są obojętni i działają nazbyt ospale. Prawda, że jest „Sokół“, następnie i stowarzyszenie «Świsłocz», lecz przy tych kółkach widzimy jednostki nieliczne a i te ze zbyt wybujałym indywidualizmem.

Główną przyczyną i przeszkodą łączenia się w liczniejsze szeregi, spajające wszystkie warstwy społeczeństwa polskiego, jest tutaj aż bijąca w oczy kastowość.

Zdarzyło mi się rozmawiać z jednym z tutejszych robotników rzemieślniczych. Na zapytanie uczynione, dlaczego nie należy do żadnego z tutejszych stowarzyszeń odpowiedział z uśmiechem:

— Bo nas bojkotują!

— To dziwne, odpowiedziałem, tam słyszę, że robotnicy nie chcą się zapisywać.

— Broń Boże, zapisać chciało się wielu, lecz zrazili nas swojem pańskiem obejściem, bo przyzna pan rację, gdy powiem, że takie traktowanie na „wy“ pewno nie uchodzi nigdzie. Tymczasem u nas do rzemieślnika ze słowem „pan“ nie wypada, po rosyjsku mówią po prostu ty; nasi zaś panowie używają słowa wymijającego «wy», a przecież w stowarzyszeniach, zdaje się powinna być równość, więc jeżeli on jest «panem» to i nam należy się to słowo.

— Praca dla społeczeństwa jest tak ważną rzeczą, że podobna uraza nie powinna być przyczyną do zrywania i wyrzeczenia się tej pracy, lecz trzeba dobrych chęci i miłości dla sprawy narodowej, rzekłem.

— A właśnie, że i tego nam tacy panowie odmawiają. Im zdaje się, że tylko oni kochać umieją i kochają, a robotnik to w ich wniemaniu za mało posiada kultury, ażeby go puścić w szeregi pracowników narodowych, za grube posiada ręce do uścisku i za bardzo przesiąknięty jest prądami socjalnemi, ażeby mu wierzyć.

— A propos socjalizmu, wszak prawda, że między tutejszą bracią rzemieślniczą i robotniczą socjalizm szeroko jest rozgałęziony.

— A kto temu winien, przerwał mi. Gdyby robotnik nasz miał inną strawę, to napewno tamtoby rzucił i przestałby słuchać żydowskich mów i czytywać rozmaite proklamacje także przez żydów puszczane. Teraz oto zbierają pieniądze na gazetę w rosyjskim języku, a niema jej w polskim. Chcą niby to uświadomić czytelników «Mińskiego Słowa» i pokazać, że ta gazeta kłamie, ale zapytaj się pan, kto czytuje ten świstek,—oto kilkadziesiąt «czarnosocieńców», kilkunastu żydów a kilka tysięcy naszych... polaków i gdyby nie polacy, to zaręczam, że w krótkim czasie gazeta upadłaby dla braku czytelników. Mnie się zdaje, że wydać gazetę po polsku i przystępną dla wszystkich tak przez treść jako i cenę nizką, to daleko więcej korzyści przyniesie, aniżeli w języku rosyjskim. Tej nie będą czytali ci, o których tak bardzo chodzi panom projektodawcom.

— A powiedz mi pan przyczynę, dla której rzemiosło reprezentowane jest tak słabo przez naszych, gdyż o ile widzę, rzemieślników jest niewiele i jakoś mizernie się przedstawiają!

— To brak gotówki. Rzemieślnik tutejszy biedny, poparcia znikąd niema, więc choćby chciał założyć czy to warsztat, czy też sklep,

ręce ma związane, bo nie ma czem zacząć. Kołatanie do osób prywatnych, jak doświadczenie pokazało, do niczego nie doprowadza, więc rad nie rad musi wysługiwać się obcym, a przeważnie żydom. Ja sam, proszę pana, w kilka lat po przyjeździe z Warszawy miałem ten zamiar i co się nachodziłem, naprosiłem wszystko napróżno, a potrzebowałem tylko stu rubli. I niech pan nie myśli, że nie mają pieniędzy— pożyczyć nikt nie chce. Teraz czekam, aż się dorobię, co jest bardzo trudnem przy rodzinie, składającej się z czworga dzieci i żony.

Po kilku dniach, na obiedzie u p. Adama w Europejskim, spotkałem jednego z dawnych znajomych tutejszych obywateli, który zoczywszy mię zaproponował, ażebym przysiadł pogadać coś o Wilnie.

— Bo ja od pół roku w tem kochanem Wilnie nie byłem, mówił, pakując do ust przedobiednią zakąskę, złożoną z majoneza i suto popijając koniakiem. No, co tam słychać, gadaj!

— Stare dzieje, pracujemy, jak możemy.

— O, o, i my pracujemy, żniwo teraz, ale, dobrodzieju, kiepsko, żyto wyprzało, łąki pogniły, i koniczynę djabli wzięli. Ciężki, bardzo ciężki będzie ten rok.

— Nie widzę tego po panu, rzekłem, patrząc na jego pucołowatą twarz i suto zastawiony stół.

— Bo człowiek nie dopuszcza do siebie i odpędza jak może zmartwienia, ażeby go za łeb nie chwyciły. Znów wypił koniaku i ciągnął dalej.

— Najgorsza sprawa to z tymi żydami. Mam oto jeszcze kawałek lasu, trzeba sprzedać, myślę sobie,... bo urodzaje zawiodły. Sprowadziłem Berka, aby ocenił, przyjechali we dwóch, poszwargotali między sobą i wyjechali mówiąc mi, «że to nic nie warto». Alem nie w ciemię bity. Przyjechałem sam do Mińska i już od dwóch tygodni o ten las traktuję. Już nawet był kupiec i znów mi dziś odmówił.

— A takie siedzenie w mieście kosztuje, rzekłem, aby coś powiedzieć.

— Ba, człowiek wiatrem nie żyje, odrzekł.

Rozmowa na chwilę umilkła, bo mój sąsiad zajęty był kurczakiem.

Gdy kurczak znikł z półmiska, zapytałem:

— Mińsk się rusza po trochu, ludzie dobrej woli krzątają się i założono kilka towarzystw, do których prawdopodobnie i pan należy.

— Towarzystw, a jakież to, zapytał, wytrzeszczając oczy.

— No, choćby «Sokół».

Skrzywił się pocieszniе, popił „marcowego“ i po pewnym namyśle odpowiedział:

— Nie lubię ja tych towarzystw nowomodnych, gdzie za pan brat z byle kim trzeba przetawać, albo na jednej ławce siedzieć i słuchać, jak ci tam jakiś osmolony i wypocony robotnik będzie gadać. To dobre zagranicą, ale u nas jeszcze za wcześnie.

— Jednak nie wszyscy są pańskiego zdania. A przytem idzie głównie o poparcie materjalne.

Ostatni mój argument dotknął szanownego obywatela, już bowiem na w pół z gniewem odpowiedział.

— Wam zawsze się zdaje, że nasz brat obywatel to na pieniądzach siedzi, a tymczasem u nas bieda, dobrodzieju, aż piszczy.

Zadzwonił i ukazującemu się kelnerowi rzucił:

— Przynieś no porteru i zwracając się do mnie, dorzucił:—No, gadaj, co w Wilnie słychać?

— Pan chce się dowiedzieć o Wilnie a mnie interesuje Mińsk.—Otóż pozwoli pan, że zapytam jeszcze: czy zna pan tutejszych rzemieślników?

— A dlaczego nie mam znać? Czy to u mnie niema kołodzieja, ślusarza, kowala.

— Ale ja zapytuję pana o tych, co w mieście mieszkają.

— I tych znam, ale to, widzisz pan, żydzi. Są podobno i nasi, tylko że bardzo biedni i nawet lubią wódeczkę, a że pijaństwa rozpowszechniać nie lubię, więc wolę w mieście szewców, krawców żydów. Taniej robią i naród to

potulniejszy, bo nasz zaraz chciałby, aby mu rękę podać i posadzić za stołem.

— Widzę, że pan trzyma się starych ołtarzy twardo. Szczęściem, że nie wielu już pozostało podobnych, rzekłem z przekąsem.

— Właśnie, że my wszyscy tacy i tak być powinno, palnął zadowolny z siebie, pociągając ze szklanki.

. . . . . .

Gdy po pewnym czasie opuszczałem przybytek restauracyjny, przyszła mi na myśl rozmowa, prowadzona przed kilku dniami z rzemieślnikiem i w żaden sposób nie mogłem pierwszemu nie przyznać w duchu racji.

II.

Lato tegoroczne śmiało nazwać można latem płaczliwem: zrana deszcz, w południe deszcz, wieczorem deszcz i w nocy deszcz.

Wobec takiej pogody pesymizm ogarnia najbardziej odporne organizmy. Odczuwają to nawet konie dorożkarskie na Zacharzewskiej. Stoją ze łbami na dół spuszczonemi, uszami skulonemi i na równi ze swymi panami na kozłach—oddają się leniwej drzemce.

Okna mojego numeru wychodzą z jednej strony na skwerek gubernatorski, a z drugiej na Gubernatorską. Ulica nielada, jak sama nazwa już mówi. Kamienice wielkie, sklepy bo-

gactwem i elegancją nie ustępują nawet warszawskim, a jednak pomimo dnia nie świątecznego, grobowa cisza zalega dokoła. Zdziwiony zapytuję numerowego o przyczynę.

— Sobota, odpowiada.

— Ale tramwaje chodzą, pytam dalej.

— Chodzą, proszę pana.

— Papierosów dostać można?

Zamyślił się poważnie, w końcu pokiwał filozoficznie głową i odparł.

— Można, ale to bardzo daleko trzeba iść.

Po chwili, gdy pozostałem sam, myśli moje poczęły pracować i szukać sposobu rozwiązania zagadki tak słabego rozwoju handlu w rękach polskich na mińskim bruku. Czyż polacy tutejsi są tak bogaci! pytałem siebie, a może brak ich tutaj? Ale nie, mowę polską słychać przecież wszędzie...

Zajęty podobnemi myślami nie spostrzegłem, że mam gościa, dopiero głośne chrząknięcie przypomniało mi rolę gospodarza domu.

Przedemną stał pan H. jeden ze znanych działaczy narodowych na ziemiach polskich.

— Witam szanownego pana, rzekłem, zrywając się na równe nogi i sadzając go na fotelu. Co za szczęście mieć takiego gościa. Dawno pan w Mińsku?

— Wczoraj przyjechałem, a jutro jadę z powrotem. Ale o czem to pan tak myślał?...

Wtajemniczyłem pana H. w przedmiot moich myśli, on zaś, po wysłuchaniu, rzekł z uśmiechem:

— Prowincja, brak kultury i wiele jeszcze upłynie czasu zanim ogół polski zrozumie, że handel, to dźwignia do odrodzenia naszego. Zrozumieli to najpierw Warszawiacy, zaczyna rozumieć Wilno, zrozumie i Mińsk i wiele innych mniejszych miast, lecz musimy jeszcze czekać. Przy obecnych, trochę znośniejszych prawach, jest nadzieja napływu zawodowców, to jest rzemieślników i handlowców do miast litewskich, a przytem słyszałem, że kilka firm poważniejszych z Warszawy myśli o założeniu w Mińsku swoich filji. Projektom tym przyklasnąć należy i życzyć powodzenia, które prawdopodobnie będzie, gdyż ceny u tutejszych kupców są zbyt wygórowane, towar zaś przeważnie tandecki. No, zagadaliśmy się, a deszcz przestał padać i słońce upragnione zaświeciło. Może pójdziemy się przejść, rzekł w końcu, patrząc w okno.

— Z przyjemnością, rzekłem. To przymusowe więzienie w numerze już mi kością w gardle stanęło.

Po chwili znaleźliśmy się na ulicy.

— Chciałbym trochę przypatrzeć się Mińskowi i zapoznać się z jego przeszłością, a wiem, że pan też słabe ma o niej pojęcie. Chodźmy do Makowskiego, kupimy przewodnik.

— Ba, kiedy przewodnika w języku polskim niema, a w rosyjskim jest tak marny, że nawet nie warto czytać.

— To dziwne, że Makowski tem się nie zajmie, ale trzeba poradzić sobie w inny sposób.

Wróciliśmy do hotelu, ażeby wynająć sobie specjalnego „cicerone", którym się okazał jakiś żyd. Po dwugodzinnem wałęsaniu się po ulicach miasta (gdyż nasz przewodnik jeździć nie chciał z powodu soboty), dowiedzieliśmy się, gdzie jest poczta, sąd wojenny, dom gubernatora, więzienie, bożnica i akwarjum, zamknięte przed dziesięcioma dniami z powodu rozgoszczenia się śród szansonistek chorób, na które miejscowe władze sanitarne baczną zwracają uwagę. W końcu nasz nieoceniony przewodnik zaprowadził nas do ogrodu Gubernatorskiego (w Mińsku co rusz, to się spotyka z czemś „gubernatorskiem", taki to już zwyczaj w miastach biurokratycznych). Ogród ten jest istotnie dosyć ładnie położony, ale zato porządki w nim bynajmniej nie są estetyczne i utrzymany jest brudno i niedbale. Trochę lepiej pod tym względem prezentuje się skwerek około teatru. Przed kilku dniami postawiono tam nawet kilka żelaznych koszy do rzucania papierów, pomysł bardzo dobry, gdyby tylko odwiedzający ten ogród żydzi chcieli z niego korzystać.

— Czy już pokazałeś pan wszystko? zapytał pan H. naszego przewodnika.

— Nu, jest jeszcze rybny rynek, ale tam dziś nikogo niema.

— Jak widzę, panie Lejbuś, nie znasz Mińska, rzekłem w końcu, przecież muszą być tutaj stare domy, stare kościoły.

— Czy to warto patrzeć, rzekł żyd pogardliwie. Tam teraz same sołdaty mieszkają, albo cerkwie są.

— A pomników niema? zapytał p. H.

— Jest ale nikt nie patrzy.

Po odprawieniu niefortunnego „cicerone“ już sami pojechaliśmy na Złotą górkę. Jest tu kościół niewielki, ale stary, w ostatnich czasach pamiętny tutejszym mieszkańcom z nabożeństw w języku rosyjskim przez lat kilkanaście. Przed kilku laty w kościele tym na nowo przywrócono nabożeństwa i kazania w języku polskim. Następnie zwiedziliśmy starożytną Katedrę i kościół po-Dominikański, zajęty obecnie przez wojsko. Starożytna wieżyca obserwacyjna, z galerją na szczycie, zaczyna walić się w gruzy, władze wojskowe postanowiły galerję złamać i nawet podobno przystąpiono skutecznie do roboty, lecz miejscowi obywatele i mieszkańcy

zaprotestowali, prosząc gubernatora o wstrzymanie zniszczenia, a tymczasem podano prośbę o zwrot kościoła, jako nieprawnie zabranego. Jak się to zakończy, trudno dziś wiedzieć.

Zapadający zmrok wieczorny zapędził nas na posiłek do pierwszorzędnej restauracji. Na podanej karcie nazwy potraw wypisane są z jednej strony po rosyjsku a z drugiej niby po polsku.

Mówię niby po polsku, gdyż nie wiem, czy można podobną ohydę nazwać językiem polskim. W cennikach drukowanych to samo, oraz na ścianach w porozwieszanych ogłoszeniach drukowanych, oznajmiających, że „orkiestra rumuńska gra w tych i w tych godzinach“. Mimowoli, czytając to, zrobiło nam się gorąco, a mój towarzysz zapytał:

— Powiedz pan, czy my jesteśmy w Mińsku, czy też... w Honolulu, gdzie o polskim języku mają tyle pojęcia, co my o ich.

Zadzwonił na kelnera:

— Czy właściciel tej restauracji jest Polakiem? zapytał.

— Tak, proszę pana!

— A gazety polskie trzymacie?

— Jest „Dziennik Wileński“, „Kurjer Li-

tewski“, „Kurjer Warszawski“ i „Tygodnik Ilustrowany“.

— No, to jeszcze ratuje sytuację i można zjeść tu ze smakiem, szepnął p. H.

Psie pole.

Psie pole.

I.

Łoktem go zwali... Wiek we zbroicy chodził... nie spał... nie jadł... w pieczarach żył... i na Wawelskiem zamku żył.

Taki wielki, że Łoktem go zwali.

Ale bił—krzepko bił!

Głowę miał wielką, a na niej dniem i nocą szyszak zelazny,—stalowy kark, a pierś chrobrą, wysoką, pełną jasnych ogni i wielkiej miłości do tej ziemicy, którą dzierżył, bo była jego;—jak to serce w piersi, jak dusza—własne.

Powiadali ludzie, że gdy po dobroci czy złości, zamkniętą pięścią walnie w nagą skałę—to woda czysta, a piękna jak oblubienica, tryska szerokim jasnym snopem ze złamanej piersi zimnego granitu.

Taką miał siłę, ten Wielki Król, którego zwali Łoktem!

Razu jednego rozsierdził się na Niemców. Sciągnął krzaczaste brwi i krzaczastego wąsa najeżył.

A potem potężną nogą w Giewontową kopnął pierś...

I wraz zajęczały całe Tatry, zajęczały okropnym bolem zemsty, — a stóletnie smereki, jak lamentujące niewiasty uderzyły w głośny hukszum.

I zakolebała się prastara Piastowa ziemica, odwróciła piękne, czarne jako hebanowe drzazgi łono, i huknęła w pełen wielki głos;

— Nastał dzień!!!

Zakolebały się siwemi mchów brodami obrosłe głazy, odwróciły polerowane tłuszczem ziemi obrzydliwe brzuchy, wypuczyły je wygodnie do słońca — i zahuczały wesołym basem:

— Nareszcie, nastał ten dzień!...

— Dzień, dzień, wesoły dzień!—uderzyły w dalekonośny głos górskie szumiące strumienie.

— Czas już, czas,—odpowiadały halne z głębokich pieczar wylęgłe echa.

A potężny i Wielki Król Łokiet słuchał, a słuchał.

Opuszczonego wąsa zbrojną prawicą gładził, oczy sokole mrużył—a słuchał.

Skały z olbrzymich grzbietów strącały bezmiernej wielkości lawiny śniegowe, z groźnem powarkiwaniem:

— Potężny Królu, jaszczurcze plemię niszcz, o tak!...

I śniegowe niszczycielskie góry z piorunowem łoskotem spadały, ziejąc śmierć czarną, posępne zniszczenie, wszystkiemu żyjącemu u stóp skał-gór.

A potężny o ludzkiem sercu król Łokiet patrzył, patrzył, i słuchał.

Czasami żachnął się, groźnie spojrzał—tak po ojcowsku, po królewsku, po piastowsku.

Aż na srogich gońcach przyleciały wichry—tam od Krakowa.

— Kraków — jęknęły, Twoja moc... orle gniazdo... Polski moc... A dziś Niemcy tam plugawią... wyrwij... odbierz!...

I zawodziły długo, — coraz możniej, srożej i głębiej, a głębiej...

Aż dosięgły Królewskiego serca.

Wtedy Wielki Łokiet głowę myślącą do góry wzniósł, a potem prawą zbrojną ręką uderzył po turkusuwej głowicy szabliska, w pierś chrobrą zamurowaną w żelazne blachy, nabrał powietrza—i huknął: górom i lasom, skałom i śniegom, rzekom i jeziorom, i wszystkiem żyjącemu i nieżyjącemu na tej swojej dziedzicznej od morza do morza ziemicy:

— Niemców wyzywam na bój!... Na wielki bój!...

A potem zwracając blaskami bijącą twarz do otaczających go zwartym murem olbrzy-

mich, w żelazne blachy i bele zakutych rycerzy, zakrzyknął:

— W konie! Pod Płowce...

II.

Krzyk zwycięstwa i tryumfu wyrywa się z piersi Piastowych dzieci. Kmieć o szerokich ramionach spojrzał w las, posłyszał szum:

— Miłościwy pan jeszcze karze—szepnął. Zahuczał wiatr, ostry a zimny, a ukochany bo swój—polski.

Za wiatrem przyszedł wyk i krakanie...

Hej wy—wy Niemcy! Czy słyszycie?

Drżyjcie! Psy wyją—a pędzą.

Z ich rozwartych gardzieli bije ku ołowianym chmurom, zasianym polom, szumiącym lasom, warczącym rzekom i spokojnym jeziorom—ucieszny wyk.

Niemcy słyszycie? ucieszny psi wyk!

Słyszycie!... więc drżyjcie... te zgłodniałe psy czują świeże mięso,—wasze teutońskie podłe ścierwo.

Hej, jaki to będzie dla psich wychudzonych gardzieli przysmak—a dla zapadłych psich boków, sterczących wygietymi gnatami z pod chropowatej skóry z połamaną sierścią,—rozkosz...

Wygłodzony kundel obeżre się wytuczonem mięsem swojego brata—pludraka.

I jeszcze sprosi na krwawe gody drużynę ze sępów i kruków.

O! będzie to stypa—dziobanie a żarcie...

U tych godnych dla waszych ciał grabarzy, zęby osadzone w krzepkich żylastych pyskach.

U tych grabarzy dzioby jak stal, a szpony jeszcze mocniejsze, niżeli obcęgi u oprawców w lochach Malborga.

II.

Drogą bitą od dalekiego Krakowa, szedł gwar ludzki i topot koński.

To Krakowskie łyczki, uzbroiwszy swoich synów i czeladź ciągną Jegomości Królowi na pomoc.

Wielka frasobliwość ołowianą chmurą gniecie ich mózgi i piersi, żądne odwetu—za krzywdy.

Niemcy szelmy, niepomiernie zaczęli w ostatnich czasach bonować po kolebce Kraka i Wandy, wielką krzywdę zadając odwiecznym i prawym dziedzicom. Łyczkowie Krakowscy zanosili przed Majestat Królewski korne skargi, ale rozpatrywania, że to były pisane, długo ciągnęły się: ludzi biegłych w rycerstwie było wielka siła, takich, coby znali się na pisaniu, mało.

Więc król chociaż dobrego serca, kochający swój naród, zwlekał z wydaniem sądów.

Aż przyszło do obrachunku.

— Wet za wet — cedził przez zęby rycerz, rąbiąc ciężkim toporem okuty w żelazo hardy łeb podłego Teutona.

— Wet, za wet—szeptali zawzięcie łyczkowie prowadząc swój hufiec zbrojny.

Naraz Kacper Bojdara jadący na przodku orszaku zamówił.

— A jak Jegomość nie przyjmą? — i serce załomotało mu w piersiach.

— E, przyjmie,—odpowie kiwając siwą jak śniegi głową, Ignac Pociecha. A toć, on nasz pan Miłościwy, nasz Ociec, dobry Ociec, przyjmie swoje dzieci... do kolan się schylim, ta poprosim, a przyjmie.

— Aby się stało, jak mówicie. Ba, i zacny, a składny hufiec prowadzim... Kilkaset mieczów jest, ba, i bardzo chwackich... a zażartych na niemczórów.

IV.

Na głowicy olbrzymiego szabliska wsparł się Król Łokt, a nad jego głową drugi Król, skrzydlaty mocarz, przepiękny artysta nucił wspaniałą pieśń.

Pieśń chwały—mocarną pieśń dla Króla, co zbił niemców.

— Haj! Haj! Mocarny nasz! hukały Tatry.

— Wielka Sława Twoja!—wtorowały echa.

— Gospodynie! żyj nam wieki, — szumiały

lasy—a potężne konary wiekowych dębów pokłony biły stopom Jego.

A tam, hen—gdzieś za szaremi górami, zielonemi koronami lasów i puszcz, piękne, przyodziane w Królewskie purpury zachodziły zorze, a rycerska, natchniona bohaterstwem twarz Wielkiego Króla, tonęła w tych blaskach.

Naraz, obleczona wielką koroną przeczystego spokoju Królewska twarz drgnęła,—wytężyło się sokole oko.

— Hej tam! Nałęcz, a skocz co tchu, i obacz co to za zbrojny huf z lasu płynie.

Zadudniała ziemia, skoczył, aby wypełnić rozkaz Królewski.

Nie upłynęły dwa pacierze, a dymiący koń zarył się przed Majestatem zwycięzcy.

— Miłościwy Panie! zakrzyknął Nałęcz, to Krakowski mistrz — złotnik Ignac Pociecha, z mistrzem-szewskim Kacprem Bojdarą, ciągną Miłościwemu Panu w pomoc.

Zaświeciło radością Królewskie oko.

— A siła ludzi prowadzą? pyta.

Aż tu pędem nadjechali Ignac z Kacprem, po rycersku zeskoczyli z dymiących bachmatów i przypadli do kolan Królewskich.

— Życie Ci nasze niesiem—przyjm!

Radosną twarzą, witał ich pan.

— Chciało się wam niemczyków pokoszto-

wać, twarde mają gnaty... nasze miecze i topory twardsze—więc zmogły—kośba skończona...

Nabrał w potężne płuca powietrza, prawicę wzniósł przed siebie.

— O! O! wiele kłosów, a miejscami całymi snopami leżą— — —

Zaraz dał znak. Zawarczały kołty, zabrzęczały mieczë—do wsiadanego.

W kilka pacierzy, nim jeszcze słońce pokryło lasy, zwycięzkie hufce potężnego Łokta zaszyły się w puszcze, a miejsce ich na polu bitwy zajęli czworonożni o stalowych pyskach, wygłodzonych kałdunach grabarze—psy... oraz skrzydlaci niszczyciele padlin i zgnilizn—sępy i kruki.

Tak kazał Król.

Wieki przeszły, a ogromne pole pod Płowcami, do dziś zwie się:

— Psiem polem.

UNIWERSYTET W BIAŁYMSTOKU BIBLIOTEKA GŁÓWNA
289521